



EX*LIBRIS

WOJEWÓDZKIEJ

I MIEJSKIEJ

BIBLIOTEKI

PUBLICZNEJ

IM. EMANUELA SINOŁKI

W OPOLU

STANISŁAW PIAST

Bełża Stawomil

NA SZŁĄSKU POLSKIM

(WRAŻENIA I SPOSTRZEŻENIA).

„Tam jest Polska, gdzie jest
lud polski.”

(Zapomniana prawda).



KRAKÓW

G. GEBETHNER I SPÓŁKA

1890.



Na Szlasku Polskim.

15-A, 1891

Stanisław Piast.

Na Szlasku Polskim.

(Wrażenia i Spostrzeżenia).

„Tam jest Polska, gdzie jest
lud polski.“

(Zapomniana prawda).



Kraków.

G. Gebethner i Spółka.

1890.



8-4
Dział
Na

~~4205~~
1115 5

884-4 (047):943.8

ZBIORY ŚLĄSKIE

Akc V Nr $\frac{382}{10}$ / 62 / C

Wszystkim wierzącym w to, że Szląsk Górny ode-
rwany przed wiekami od wielkiego pnia słowiańskiego,
nie zatonię w morzu Niemczyzny.

Wszystkim przykładającym się czynnie do tego, aby
zachować od zagłady język i wiarę jego ojców.

Z braterskim pozdrowieniem

książkę tę

przypisuje

Autor.

Warszawa. Styczeń, 1890 r.

I.

Deszcz gęsty, zimny, listopadowy, bił gwałtownie o szyby okien wagonu kolei żelaznej, kiedym opuściwszy Oświęcim, brudną żydowską w Galicyi mieścinę, przebywał rzeczkę oddzielającą monarchię Rakuzką od państwa, które wczoraj jeszcze grało mało znaczną w Europie rolę, żyjąc ptotekcyą potężnego wschodniego sąsiada, a dziś, dzięki zbiegowi szczęśliwych okoliczności i kaprysowi losu, strącającego jednych w przepaść a wznoszącego drugich na wyżyny, milionem bagnetów wsparte, wolą żelaznego i bezdusznego człowieka kierowane, stoi na szczycie materyjalnej potęgi i chwały. Wjeżdżałem w granice Szląska, tego Szląska, który kiedyś był naszym, gdzie książęta z Piastowskiego rodu rozsiadali się w warownych grodach, stawiając opór czerni tatarskiej nadciągającej z dalekiego Wschodu, który następnie dzięki ich lekkomyślności stał się udziałem monarchii Habsburgów, aby w końcu siłą przeniebierstwa i pięści, zo-

stać przykutym do organizmu państwa, urodzonego na piaskach Brandenburgii, wypasionego na odwiecznej Słowian ziemi, a aspirującego nie od wczoraj do pochwycenia w chciwe swoich kierowników ręce, władzy nad całym nieledwie światem. Dziwnie smutno i posepnie było, kiedy przez otarte z rosy niebieskiej szkła okien, posyłał wzrok mój tej ziemi, ponad którą, jak okiem sięgałem, rozciągało się rozplakane niebo, jak gdyby nad grzechami tych, którzy mogąc tu być panami, dziś niby złoczyńcy, wyrzucani są precz brutalną ręką, aby obecnością swoją, nie przypominali przypadkiem ludowi temu, że jest krwią z krwi i kością z kości ludu, skazanego na śmierć i zagładę przez tych, którzy konwulsyjnie tę ziemię ujawszy w śmiertelne dla niej uściski, nie mogą się doczekać tej radoonej dla nich chwili, kiedy z piersi ostatniego z jej dzieci, wyleci ostatnie tchnienie.

W wagonie trzeciej klasy w którym się znajdowałem, jechał jakiś młody jegomość, obok otuleni w mięsiste szale siedzieli dwaj średniego wieku panowie, do uszów moich dolatywały zewsząd gardłowe dźwięki niemieckiej mowy.

— Gdzie będzie rewizya paszportów? — zaczął po niemiecku pierwszy pasażer młody.

— Paszporty, potrzebne są tylko w Rosyi, odparł półgębkiem w tymże języku zapytany drugi towarzysz mojej podróży.

Spojrzałem w bok. Był to mężczyzna lat około czterdziestu, wyglądał na piwowara, a wymawiając z dumą te słowa w »Rosyi,« zdawał się nieznanomemu powiadać:

Biedaku ciemny, ani wiesz, gdzie się masz szczęście znajdować. Wiedz więc, że podróżujesz po państwie prawa i wolności bez granic, że tu nikt nie zapyta się ciebie nigdy co zacz jesteś i poco tu przybywasz, że konstytucyjne i oświecone Prusy zerwały już dawno z formalnościami, które przestrzegane jeszcze tu i owdzie, w ich granicach należą do przeszłości.

Biedaku ciemny, chciałem i ja mu od siebie powiedzieć, ale jak zmora stanął mi wtedy przed oczami duszy mojej, widok tysięcy nędzarzy wyganianych poza granice tego wielkiego i oświeconego państwa, za to tylko, że nie należąc do niego, głodem gnani poważyli się wyciągnąć w niem rękę po zarobek, tucząc znojem własnym po kopalniach, tłustych hrabiów i baronów, dzierżących w swoich rękach całe mineralne bogactwo tego kraju. Więc zamilkłem wspomniawszy o tem, i z pewną obawą spoglądałem nie tylko na tego młodego a obcego w tym kraju człowieka, ale i na siebie samego, któremu również to państwo prawa, mogło bezkarnie i niespodziewanie odmówić praw do rozglądania się po jego kątach.

— Brzezinka, — dał mi się słyszeć głos

z zewnątrz, Brzezinka, powtórzono razy kilka, pociąg stanął, a przez skropione gęsto łzami nieba szyby w oknie mojego wagonu, ujrzałem wysokie kominy, około których dym gęsty, brudny, kłębiasty, kręcił się, spadając na ziemię, deszcz bowiem, który nie przestawał lać jak z cebra, nie pozwalał mu biedz do góry.

— Brzezinka — odbiło mi się o uszy ponownie, i w tej chwili drzwi wagonu gwałtownie zostały otwarte, a powietrze zimne, wilgotne, nieprzyjemne, napelniło ogrzewane wnętrze całego pociągu.

Mężczyzna, lat około czterdziestu, wyglądający na piwowara, a tłumaczący niedawno młodemu człowiekowi zapytującemu go o formalności paszportowe, jak wielkie szczęście jest udziałem każdego, kto znajduje się w granicach humanitarnych Prus, poruszył swoją korpulentną postać, podniósł się ze swego siedzenia i wycedziwszy nam przez zęby: *auf Wiedersehen*, za co odemnie otrzymał w zamian polskie: do widzenia, powoli zeszedł na platformę kolei.

Wychyliłem głowę na świat Boży.

Przedemną wznosił się maleńki budynek. Brudny i biedny, wyglądał on tem niepozorniej, że kąpał się literalnie w wodzie, spływającej z zamurowanych jego ścian na ziemię. Na jego froncie stał wypisany wyraźnie wyraz: »Brzezinka,« obok niego kręciło się w tę i w drugą

stronę kilku ludzi ze służby kolejowej, wszędzie słyszałem niemiecką mowę. Ale za chwilę ustąpiła ona miejsca innej. Zaledwie rozległ się dźwięk pierwszego dzwonka, z otwartych drzwi prowadzących do kassy kolei, wylała się różnokolorowa fala głów wieśniaczych, i wkrótce język tubylczej ludności tego kraju, ku wielkiemu niezadowoleniu napływowego elementu, brzmiał harmonijnie i głośno w powietrzu. I brzmiał on długo jeszcze w uszach moich, kiedy pociąg toczył się szybko, przerzynając ziemię hut i kopalni, a tymczasem ołowiane niebo, nie przedstawiało ani chwili płakać ciężkimi jak kamienie łzami.

Ten płacz nieba, czyż uśmiech wesela obudzić mógł w duszy mojej, gdy z boleścią wspomniał, że na tej od wieków słowiańskiej ziemi, prócz dzieci ludu, dziś już nikt prawie językiem tak drogim mojemu sercu nie mówi?

II.

— Wohin gehen Sie? — zapytał mnie nagle młody człowiek, który wjeżdżając w granice Szląska, kłopotał się o formalności paszportowe.

— Do Bytomia, — odpowiedziałem sucho, po polsku.

— Ach, pan polak? — zapytał znowu, przybliżając się do mnie.

— Jak pan widzi, i językiem niemieckim posługuję się wtedy tylko, kiedy jestem w granicach właściwych Niemiec.

— A czyż tu nie Niemcy, czyż tu kto po polsku rozumie?

— Pod względem politycznym, Szląsk górny, w granicach którego właśnie się znajdujemy, należy niezawodnie do Niemiec, etnograficznie przecież jest on polską prowincją, taką samą jak Kujawy, Mazowsze, Wielkopolska, Kaszuby i Krakowskie. A co się tyczy języka polskiego, którego zdaniem pana nikt tu nie rozumie, to jesteś w najzupełniejszym błędzie. Wiedz więc pan, że po polsku tu mówi przeszło milion ludu, że język niemiecki jest językiem tylko przybyśców z dalekiego zachodu, którzy gnani głodem, nie mogąc się wyżywić w domu, przychodzą na obcą słowiańską ziemię i zjadają chleb jej odwiecznych dzieci, płacąc im nienawiścią i wżgardą za gościnność jakiej pomiędzy nimi doznają. A choć Szląsk cały, dawno, już bardzo dawno, odpadł od wielkiego pnia słowiańskiego, choć w dwóch trzecich swoich częściach, zniemczył się doszczętnie, tu jednak wpośród prostego ludu pozostał dotąd czysto polskim, i pozostanie nim już nazawsze, wiek bowiem który jest wiekiem jutrzeńki narodowego odrodzenia dla Czechów,

Chorwatów, Słowaków i Rusinów, nie będzie wiekiem ponurego grobu dla Polaków Górnoślązkich, mimo że pieśń pogrzebową śpiewają dziś im głośniej nawet niż dawniej, wielbiciele zasad krwawego człowieka, któremu się zdaje, że wola jego uragać może świętym prawom Przedwiecznego Boga.

Kiedym tak mówił, młody człowiek przysłuchiwał mi się z wielką uwagą. Znać było, że z podobną mową nie spotkał się nigdy jeszcze w życiu. Urodzony (jak mi to później opowiedział) w jednym z powiatów wschodniej Galicyi, w której wśród milionów rusińskiej ludności, niby małe wysepki na szerokim oceanu wodach, rozrzucone są gromadki polskiej intelligencji i szlachty, przyzwyczał się uważać ją za ziemię na wskroś polską, zgodnie bowiem z arystokratycznymi pojęciami, które nie w jego tylko mózgu nurtowały, lud poczytywany był ciągle za element, którego mówiąc o narodowości danego kraju, nie należało nigdy brać w rachubę. Znalazłszy się więc poraz pierwszy na Górnym Szląsku, gdzie istotnie cała szlachta jest niemiecką, gdzie cała intelligencja, wszystko co w tużurku chodzi, po niemiecku tylko mówi, choć otarł się, tak jak i ja w Brzezince o lud polski, nie zwrócił przecież na niego uwagi i mniemał, w pokorze własnego ducha, że znajduje się na ziemi czysto niemieckiej, tak jak



podróżując po okolicach Kołomyi sądził zawsze, że podróżuje po ziemi czysto polskiej. Kiedym mu więc zaczął wyjaśniać, że o narodowości danego kraju, świadczy nie garstka, która jego kołderkę stanowi, ale massy, które są jego podstawą, nic dziwnego, że wielkimi wytrzeszczonymi oczami ciekawie spoglądał na mnie, że przysłuchiwał się uważnie dziwnym słowom, które, być może, że po raz pierwszy wpadały w jego uszy!

— Zatem pan utrzymuje zaczął po chwili nieśmiało.

— Utrzymuję, przerwałem mu raptownie, że tam jest Polska, gdzie jest lud polski, że choć w dawnych czasach kolonizacya nasza, pozostawwszy Szląsk i Pomorze na łup niemczyzny, zwróciła się na daleki wschód, w stronę ziem ruskich, nie zdołała przecież tam dotyla korzeni swoich zapuścić, aby z ziem tych zetrzeć odrębną narodową cechę i że tam zawsze, nie przestając być nigdy cywilizacyjną siłą, stanowić będzie element napływowy, pierwiastek obcy. Ale na Szląsku Górnym, gdzie na milion dwieście tysięcy mieszkańców, znajduje się milion czysto polskiego ludu, mimo że nie posiadamy szlachty naszej, jesteśmy u siebie w domu, mamy bowiem narodową podstawę pod nogami. Na takiej więc podstawie oparci, możemy budować śmiało, w grunt najzupełniej nasz, możemy rzu-

cać odważnie nasze ziarna, tak jak, straciwszy po bitwie pod Białą Górą swoją szlachtę, Czesi, wsparci na ludzie, budują i sieją w granicach korony świętego Wacława, tak jak budują i sieją galicyjscy rusini, nie bacząc na to, że cała ich szlachta przyjęła wiarę i język Polaków. I patrz pan, jaki z tej siejby i w Czechach i na Rusi galicyjskiej owoc wyrasta, i patrz pan, czego w krótkim stosunkowo czasie, dokonały dwa te bratnie nam słowiańskie narody. Niechaj to pana nie dziwi, pług nie zapuszcza swojego żelaza tylko w skałę, ale miękkie skiby umierzwiane rodzimym nawozem, kraje na warstwy mające już jutro pokryć się bujną zielenią i kwieciem. A pług na skale, — to właśnie praca Niemców na Górnym Szląsku, gdzie Niemcy gruntu pod nogami są pozbawieni, gdzie stoją wsparci na bagnietach nie mających z tą ziemią nic wspólnego. Ale łaskawy panie, słusznie powiedział pewien mąż stanu: «na bagnietach oprzeć się można, ale usiąść na nich nie podobna». Nie usiądą zatem na nich na Górnym Szląsku i Niemcy.

Tymczasem gdy we wnętrzu naszego wagonu 3 klasy toczył się taki polityczny rozhowor, pociąg mknął pospiesznie naprzód. Mineliśmy już Mysłowice, gdzie nas poraz pierwszy powitał rozpięty na krzyżu Chrystus, mineliśmy Szopienice, niewielką hutniczą osadę, ustrojoną

w wysokie kominy i pokrytą grubą kołdrą szarego dymu, — oczy nasze uderzył wspaniały gotyk. To szyld Katowic, a zarazem świadectwo pobożności Górno-Szlązaków, którzy połączonemi siłami, wdowim od ust odjętym groszem, ustroili cały Górny Śląsk w Domy Boże tak piękne, że podobnych im, żadna prowincya polska nie posiada.

Ale nie długo wzrok nasz spoczywać może na tym gotyku, pociągowi spieszo do Wrocławia, więc zaledwie stanął, rusza wartko naprzód, pozostawiając za sobą miasto, skąpane w potokach deszczu, który nie raczył ustać ani na chwilę. W tym przemysłowym przecież i gęsto zaludnionym kraju, stacye kolei żelaznej są rozsiane na tak niewielkiej przestrzeni, że co kilkanaście minut, pociąg staje. Nie zatarł się więc jeszcze w pamięci naszej obraz gotyckiej świątyni Katowic, a już konduktor głośnie wykrzykuje nazwę nowego miasta. Ale nazwy tej nie mogę pochwycić uchem, brzmi mi ona z polska po niemiecku, otwieram więc drzwi i oczy moje padają na.... potworność językową, do splodzenia której, jedni tylko Niemcy, przepraszam, jedni tylko Prusacy, na całym świecie Bożym są zdolni.

Przesylabizujcie tego dziwoląga.

Ani mniej ani więcej, tylko:

Schwientochlowitz.

Co to jest?

Patrzę na mapę, zaglądam do podręcznej książeczki, w której wynotowane mam słowiańskie nazwy, cudacznie poprzekręcane na naszych zachodnich kresach na niemieckie, i znajduję pod tym stopniem szerokości geograficznej gdzie jestem, nasze: Świętochłowice.

Zatem myślę, nie zatrzymując się i tu długo, tobie to pocziwe polskie Świętochłowice, przypadł na ziemi szląskiej pierwszy zaszczyt, reprezentowania kultury pruskiej, ciebie to najpierw przystrojono w niemiecką szatę, gdyż ci z twoją odwieczną było, zdaniem twoich dzisiejszych panów tak nie do twarzy. Stój więc tu, w tym nowym stroju, na chlubę cywilizacyi narodu, który dziś jest pierwszym (tak przynajmniej sam o sobie z dumą utrzymuje) narodem w świecie, reprezentuj godnie kraj, do którego masz szczęście należeć, ale na Boga, nie pozwól zamieszkującemu twoje łany, pracującemu w twoich hutach ludowi, otworzyć ust w chwili, gdy pociąg przed twoim stacyjnym domkiem przystanie, nie daj mu zdradzić swojego pochodzenia przed przyjezdnymi z różnych krańców świata, którym wmawiają, że jesteś z krwi i kości osadą niemiecką, gdyż słowa twoje nie będą niestety takimi, jakimi chcieliby oni byś po wiekowej rozłące z nami, przemawiało, gdyż powitasz ich tak jak i my, odwiecznem: «Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!»

Niech będzie pochwalony. Tak jest, niech będzie. Za łaski, jakimi nas darzy, za krew, jaką dla nas przelał, za wiarę, jaką w nasze serca wlewa. Ale niech będzie i za to pochwalony, że pomimo sześciu wieków usiłowań, nie starto z tej ziemi, na której goszczę, jej polskiego charakteru, nie wydarto obsiadującemu ją ludowi jego języka, nie skażono jego serca.

Niech będzie, niech będzie pochwalony, — i to na wieki wieków Amen.

III.

Do Bytomia wjeżdżałem po raz drugi.

Lat temu jak raz dziesięć, Szląsk Górny nawiedziła klęska głodowa. Przez usta Miarki, echo tej klęski doszło do Warszawy. Postanowiono wedle mocy biedzie współrodaków zaradzić. W całym kraju potworzyły się komitety, i w krótkim czasie pociągnęły w stronę południowo-zachodnią Królestwa pociągi naładowane kaszą, grochem, słoniną. Dzięki ofiarności całego polskiego ogółu, głód wkrótce ustał, dzięki energii Miarki i szląskich komitetów, obyło się tam bez tyfusu, jaki nawiedził Szląsk Górny w roku 1849, gdy podczas głodu, jaki tam w tym czasie panował, niebaczni ofiarodawcy rozdawali ludowi surową strawę, na którą się on z chciwością

zwierzęcą rzucał. Otóż po głodzie w roku 1880, pragnąc się przekonać naocznie, ażali pomoc, od jakiej nie uchylał się żaden z nas, chociażby najbiedniejszy, wystarczyła na ulżenie niedoli, pojechałem na Górny Śląsk, zetknąłem się z Karolem Miarką w Mikołowie, i z nim objechałem nawiedzone głodem wsie i miasta, a między temi ostatnimi właśnie i Bytom. Kiedym więc teraz, wysiadłszy na którejś pośredniej stacyi kolei żelaznej, z wagonu, szląskim wózkiem, wjeżdżał w mury tego miasta, przyglądałem mu się jak staremu znajomemu, dziwić się temu, że czas, który wszystko niszczy, nie odbił na jego murach swoich znaczących śladów. Owszem, podniósł on to miasto i upiększył, przystroił całe dzielnice we wspaniałe gmachy, których nie powstydzilaby się nawet sama Warszawa, a w jego środku dźwignął tak piękną, gotycką świątynię, że podobnej jej, z wyjątkiem może Katedry Śgo Jana, Warszawa nie posiada. Nie mogłem więc, patrząc na dzisiejszy Bytom, powiedzieć za poetą: «wszystko tak jak było, tylko się ku starości nieco pochyliło», ale owszem zniewolony byłem wyznać, że wszystko to odświeżyło się i podniosło, że wszystko przyodziło się jak gdyby w świąteczną szatę, że nad wszystkim powiał prąd odświeżającego powietrza. Nadewszystko też nowa, wspaniała świątynia, przyozdobiła niepospolicie Bytom. Zbudowana

w stylu czysto gotyckim, o kształtnych choć niewysokich wieżach i czerwonych nietynkowanych ścianach, daje ona obraz tak sympatyczny, że oczów od niej oderwać nie podobna. Spogląda się też na nią z zachwytem, a zachwyt ten przemienia się w prawdziwy podziw, gdy się dowie, że i ten Dom Boży jak tyle innych na Górnym Szląsku, powstał dzięki ofiarności polskiego ludu, że ręka dzisiejszych panów tej ziemi do jej dźwignięcia nie przyczyniła się w niczem. Jakaż opiekę (myśli się wtedy wspomniawszy o tem) znajdować musi ten lud pobożny a ofiarny, w kapłanach, którzy w tych świątyniach odprawiają niekrwawe ofiary, i jakżeż gorliwie bronić go oni muszą przed hydrą germanizacyi, która niby wąż podkrada się z nienacką, aby wydrzeć mu jego mowę, stanowiącą wraz z wiarą, jedyną jego po praojcach spuściznę, jedyny skarb, jedyną zachętę do życia...

Bytom jest siedliskiem redakcyi »Katolika«, pisma zażywającego na całym Górnym Szląsku niepospolitej wziętości. Wziętość ta jego jest najzupełniej zasłużona, mało bowiem pism oddało takie jak »Katolik« przysługi sprawie, której służyło. Pismo to liczy dziś dwudziesty drugi rok istnienia, dwadzieścia lat walczy wytrwale w obronie wiary i języka Górno Szlązaków, niedziw więc, że dziś na Górnym Szląsku jest niepospolitą siłą moralną, z którą się liczyć

muszą ci nawet, którzy wszystko co nie pochodzi ze świata materyi, w pogańskiej pysze depczą bezwzględniemi nogami.

Jak wiele pism, i »Katolik« przechodził różne koleje losu. Założony przez Chociszewskiego, wychodził pierwotnie w Chełmnie w Prusach królewskich; w roku przecież 1869 przeniesiony został na Szląsk Górny i oddany pod redakcyę Karola Miarki, który nie był już wtedy nowicyuszem na literackiem polu, gdyż redagował przez czas jakiś »Zwiastuna Górno Szląskiego« Teodora Heneczka. Z początku »Katolik« był niepolitycznem pismem, nie mógł więc wytrzymać współzawodnictwa ze »Zwiastunem Górno Szląskim,« zamiast więc dochodu, narażał redaktora na straty, ale gdy z dniem 1 Lipca 1869 r. nadeszła Miarce materialna pomoc, od jednego z obywateli poznańskich, która mu umożliwiła przekształcenie pisma, stanęło ono od razu na trwałej materialnej podstawie.

Tak stały rzeczy do sławnej walki kulturalnej, którą za podszeptem złego genjusza, przeceniając oczywiście swoje siły, wywołał kanclerz niemiecki, w nadziei, że złamie za jednym zamachem dwa wrogi dla państwa żywioły: katolicyzm i polskość. Posypały się przy współudziale żydowsko-liberalnych żywiołów prawa majowe, rozpoczęły się prześladowania księży, opustoszały od dusz kierowników całe probostwa.

Na całym katolickim Górno-Szląsku zawrzało jak w ulu, księża którzy wychowani we Wrocławiu, gorliwie dotąd niemczyli lud polski, teraz zachwiani we własnych podstawach uczuli potrzebę oparcia się o narodowe masy, przemówili polskim językiem, zewsząd dawały się słyszeć głosy domagające się podjęcia rękawicy zuchwale rzuconej przez rząd ludowi i moralnego przodownictwa w walce z polityką kanclerza, jaka zawrzeć miała na całej linii. Otóż rękawicę tę podjął »Katolik«, Miarka energicznie wyciągnął rękę po to przewodnictwo. Posypały się więc w tem piśmie gwałtowne artykuły, rozpoczęły się w ślad za nimi procesy prasowe, ale choć kończyły się one zwykle niefortunnie dla Miarki, z każdym przecież prawie miesiącem przysparzały pismu prenumeratorów. Doszło do tego, że w chwili gdy redaktor »Katolika« odsiadywał więzienie, ludzie dobrej woli agitowali tak gorąco na rzecz jego wydawnictwa, że doprowadzili je do liczby 6000 przedpłacicieli.

Na tej niepraktykowanej gdzieindziej liczbie przedpłacicieli, »Katolik« jednak się nie zatrzymał; owszem rozszerzał on coraz bardziej koło swojego wpływu, i dziś, choć już Miarki nie stało, choć kanclerz niemiecki przekonawszy się w walce kulturalnej o swojej niemocy, poszedł pokornie do Kanossy, a nawet z filuteryą, która go zawsze cechowała, wyparł się publicznie jakoby on był in-

tellektualnym sprawcą tej niefortunnej walki, nie tylko że to pismo nie podupadło, ale owszem jak gdyby nowych sił nabrało i w chwili kiedy piszemy te słowa, rozchodzi się na Górnym Szląsku i poza granicami Górnego Szląska, w liczbie aż 12.000 prenumeratorów.

Cóż więc dziwnego, że tak rozpowszechnione pismo jest potęgą moralną w całej prowincyi, że każdy kto tak jak my pragnął zapoznać się ze stosunkami narodowościowymi na Szląsku, przedewszystkiem musiał się otrzeć o jego redakcyę?

IV.

Redakcyja »Katolika« znajduje się w samym środku Bytomia. Niedaleko nowego kościoła Ś. Trójcy, na ludnej i szerokiej ulicy, wznosi się murowany dom. Dom ten odrazu zwraca uwagę przyjezdnego, gdyż nad jego bramą czytamy wyłącznie polski napis: »Redakcyja Katolika«. Napis ten odbija przyjemnie od napisów innych w mieście, które z małemi wyjątkami, są wyłącznie niemieckimi. Wyglądać to ma bardzo »fein« zdaniem mieszczan rekomendujących w tym języku swoje towary, choć nieraz mieszczenie ci nie potrafią się nawet rozmówić w tej prawdziwie, zdaniem ich, »fein« mowie. Czyż można się

tym biednym ludziom dziwić, gdy im w szkołach pruski bakalarz ciągle mówi, że język polski jest językiem wyłącznie gburów i prócz kantyczek, żadnej literatury nie posiada, i gdy na Szląsku wszystko prawie co w tużurku chodzi, i prawdziwie »fein« wygląda, mową niemiecką ciągle się posługuje? Otóż dom Redakcyi »Katolika,« pod tym względem stanowi wyjątek i wyłącznie w języku polskim anonsuje wydawnictwo, niegdyś Karola Miarki, a dziś pani L. Radziejewskiej własność stanowiące.

Redaktorem odpowiedzialnym »Katolika,« w chwili obecnej jest p. Bronisław Koraszewski. Człowiek młody, o sympatycznych rysach twarzy, redagował przedtem »Głos Ludu Górnośląskiego« w Królewskiej Hucie, zanim powołany został do Bytomia, by tu wspólnie z p. Napieralskim redagować dwa pisma: politycznego »Katolika« i ilustrowane »Światło«.

Właśnie siedzimy w Redakcyi »Katolika« i prowadzimy z p. Koraszewskim rozmowę. Zapytujemy przedewszystkiem o ks. Radziejewskiego, który do niedawnych jeszcze czasów redagował to pismo, zanim złamany ciągłemi więzieniami, zmuszony został usunąć się w zaciśze.

— Ks. Radziejewski, opowiada nam p. Koraszewski, w tej chwili nie mieszka w Bytomiu. Przebywa on stale w Antoninie w Poznańskim, gdzie jest proboszczem u księcia Radziwiłła, a do

Bytomia, od czasu tylko do czasu dla odwiedzenia siostry zjeżdża.

Na stole redakcyjnym spostrzegłem kilka nieznanych mi pism.

— To jest cała nasza prasa Górno Szląska, zaczął znowu p. Koraszewski. W Bytomiu mamy »Katolika« z dodatkiem miesięcznym: »Rodziną,« i ilustrowany miesięcznik »Światło,« obok w »Królewskiej Hucie« jest »Głos Ludu Górno Szląskiego,« w Niemieckich Piekarach wychodzi »Gwiazda Piekarska« z dodatkiem p. t. »Przyjaciel Domowy,« w Gliwicach »Opiekun Katolicki« a w Raciborzu od Kwietnia 1889 »Nowiny Raciborskie«. Mamy więc tu pism naszych wraz z dodatkami ośm, ale dodawszy do nich wychodzące we Wrocławiu wyłącznie dla polskich protestantów na Górnym Szląsku »Nowiny« drukowane gotyckimi literami, tak nazwanym tu »szwabachem,« będziemy mieli aż dziewięć pism polskich, co jest bardzo wiele jak na prowincję, która polskim, tylko lud zachowała.

Do pokoju wszedł młody mężczyzna.

— Przedstawiam panu, mego kolegę p. Napieralskiego, odezwał się p. Koraszewski. Razem z nim ciągniemy taczkę redaktorską w Bytomiu.

Rozmowa nawiązała się około stosunków na Górnym Szląsku. Dowiedziałem się z niej między

innemi, że w chwili kiedy znajdowałem się w Bytomiu, agitowała się tam bardzo ważna kwestya. Za impulsem ludzi, którym byt ludności roboczej polskiej leżał bardzo na sercu, a w rzędzie których poseł Majer Szmula wybitne zajmował miejsce, świeżo powstał w tem mieście: »Związek wzajemnej pomocy«, dla robotników górniczych i hutniczych, i że ci dwaj panowie, jako należący do redakcyi pisma, które patronowało związkowi, zamierzają nazajutrz jechać do dwóch hutniczych miejscowości, celem pouczenia ludu o zadaniu stowarzyszenia.

— Wyjeżdżam jutro — odezwał się do mnie p. Koraszewski, do Szobieszowic pod Gliwicami. Spodziewam się tam licznego bardzo zebrania, jeśli pan chce, możemy jechać razem.

Propozycyę przyjąłem z zadowoleniem.

Tymczasem do Redakcyi zaczęły wchodzić coraz nowe osobistości. Byli to ludzie nie do tak zwanej intelligencyi należący, ale stanowiący prawdziwą intelligencyę pomiędzy klasą roboczą tego biednego kraju, którego czoło podobnie jak czoło Czechów i Słowian południowych, sprzeniewierzywszy się sprawie narodowej, przeszło do obcego obozu. Na twarzach ich wszystkich malowała się energja, w odezwaniach ich czuleś prostotę i szczerłość. Każdy z tych ludzi wchodził do pokoju i tradycyjnem »Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus«, każdy jak

stary znajomy, podawał ci otwartą dłoń. Nowo wchodzący grupowali się koło redaktora »Katolika« rozprawiali o jutrzejszem zebraniu w Szobieszowicach, a ja tymczasem, usunąwszy się dyskretnie ku oknu, przeglądałem świeżo wyszły z pod drukarskich tłoczní Numer »Katolika«.

Może nie będzie pozbawionem interesu, jeżeli Numer ten, przeglądać będę do wspólki z moimi czytelnikami.

Ale przedewszystkiem jaki jest zewnętrzny wygląd »Katolika«.

Najstarsza i najzasłużeńsza ze wszystkich gazet polskich na całym Szląsku pruskim, stanowi półarkusik formatu »Tygodnika Illustrowanego«. W nagłówku grubemi literami czytamy wyraz: »KATOLIK«, »Pismo poświęcone ludowi ku cności, nauce, zbogaceniu«, u góry słowa: »prawo boskie przyrodzone i nadprzyrodzone to nasze hasło«, u dołu: »szanuj język ojców, to prawo Boga a człowieka obowiązek«, a z dwóch stron nagłówka widnieją napisy: »wiera, miłość Boga i bliźniego oświata« i »oszczędność, trzeźwość i stowarzyszenia«. Rekomendacja jak widzimy bardzo pochlebna, ale przebiegnijmy choć w krótkości treść Numeru.

Przedewszystkiem uderza nasze oczy wyraz: »Germanizacya«. Podróżując po ziemiach naszych, doświadczających słodkiego szczęścia należenia do Prus, nie podobna się z tym wyra-



zem na każdym kroku nie spotkać. I Numer więc Katolika, który leży przed naszymi oczami, przypomina nam powołanym z tytułu artykułem, gdzie mamy zaszczyt gościć w tej chwili.

Przeczytajmy ten artykuł.

Powód do niego dała niemiecka: »Königs-hütter Zeitung«, która pragnąc podszczuć rząd na polaków Górno-Szląskich, w ostatnim artykule swoim pisząc o przygotowywaniu w Królewskiej Hucie dzieci do spowiedzi w języku niemieckim, żaliła się, że »polska agitacja«, sprawia, iż stosunkowo tych dzieci jest tak niewiele.

Oto jak na to niegodne szczucie, odpowiada niemieckiej Gazecie »Katolik«.

»Bardzo rozsądnie rodzice polscy postępują sobie, nie pozwalając dzieciom chodzić na niemiecką naukę, bo czyniąc inaczej i pozwalając im gardzić mową ojczystą, pozwoliliby im przez to samo gardzić własnym ojcem, własną matką, wbrew słowom Pisma św.: »jeśli mię miłujecie, chowajcie przykazania moje«.

Całkiem wreszcie bezmyślnem, a nawet śmiesznem jest to ciągle spędzanie winy na polską agitację. Toć to niemieckie polakożercze gazety ciągle tak sprawę przedstawiają, jak gdyby tu sami Niemcy byli, a Polacy pomiędzy nimi agitowali. Właśnie przeciwnie jest: Górny Śląsk jest polski, a Niemcy ciągle agitują, więc to niemiecka agitacja, a nie polska. Polacy nie agitują, tylko bronią się przed agitacją niemiecką, a że mają do tego liczne powody, niech posłuży za przykład następująca korespondencya z Król. Huty. Korespondent nasz pisze tak:

Aż mi się serce kraje, gdy widzę i słyszę, jak zewsząd na

nas Polaków uderzają. Czytałem w »Katoliku«, jak to niemieckie gazety co chwilę wrogo przeciw nam występują, a spostrzegłszy teraz w »Königshütterce« wycieczkę przeciw polskim rodzicom, pomyślałem sobie, że gdy jedna koza zabeknie, to wszystkie za nią. Wiemy bardzo dobrze, czemu ta gazeta tak pisze; ot po prostu dla tego, że się chce niejednemu przychlebić, bo ma czytelników różnych: panów i robotników, Niemców i Polaków. (Polacy nie powinni takiej gazety do ręki wziąć, która zaczepia ich i prześladuje ich język ojczysty. — Red.)

Dalej pytam, ileż to jest tych rodzonych Niemców tutaj? Ze wszystkimi urzędnikami i żydami może ze 2 tysiące, a nas Polaków jest więcej niż 30 tysięcy, a jeżeli z tych 30 tysięcy niektórzy rodzice istotnie dzieci swych na polską naukę nie posyłają, to jest to hańbą dla nich, a błąd, jaki w tym względzie popełnili, prędzej lub później da im się we znaki ze strony własnych dzieci. Wszelako przyznać trzeba, że nie zawsze i nie we wszystkim rodzice są winni. Szkoła wywiera bowiem nacisk na dzieci, aby chodziły na naukę niemiecką; znam ja jednego pana, który wyrzucał pewnej dziewczynie, chcącej należeć do polskiego oddziału, że byłoby to hańbą dla niej, gdyby uczęszczała na polską naukę. Jeżeli tedy każą nam gardzić językiem ojczystym, jakże mamy szanować język obcy. Z zarzuceniem języka ojczystego lud, górnoszląski zarzuci swe cnoty, przestanie być dobrym, pobożnym, wiernym, bo język ojczysty, to prawo Boskie przyrodzone, za którego wzgardą pójdą inne grzechy.

Nieprawda, że artykuł, że jego ton prosty a stanowczy odrazu do pisma korzystnie każdego usposabia i że chociażby przeszłość »Katolika« i jego dla polskości na Szląsku zasługi nie były powszechnie znanymi, już ze słów powyższych, każdy przejęty byłby dla niego prawdziwą sympatyą i szacunkiem.

Zaraz za tym artykułem spotykamy rubrykę »Spraw Szkolnych«, a dalej idzie wielka polityka, nie ograniczająca się na Europie, ale zapoznająca szląskich czytelników, nawet z tem, co się w Kamerunie dzieje. Za polityką spotykamy rubrykę wiadomości bliższych i dalszych z całego Górnego Szląska, ostatnie wiadomości, odpowiedzi redakcyi i ogłoszenia, których tak w tym, jak w każdym w ogóle Numerze Katolika jest bardzo dużo. W końcu w odcinku, mamy dalszy ciąg powieści z życia irlandczyków pod tytułem: »Król nocy.«

Oto jest wierne odbicie Numeru »Katolika«, który był w moim ręku, w chwili gdy przybywszy do Bytomia, znajdował się w redakcyi tego pisma. Numer to był w wiadomości bardzo bogaty, ale przerzuciwszy kilkanaście innych przekonałem się, że żaden z nich mu nie ustępuje. We wszystkich dostrzegłem staranność redakcyi, obfitość korespondencyi, — lokalny, informacyjny charakter pisma, uderzał przedewszystkiem w oczy. Zwróciła tylko moją uwagę powieść w odcinku. Czemu, pomyślałem, redakcyja nie darzy swoich czytelników powieściami z życia własnego narodu, czemu nie zapoznaje ich z dziejami polskimi, lub nie streszcza przystępnym językiem którejs z ciekawszych powieści historycznych Kraszewskiego. Ale przypomniało mi się zaraz, że Szląsk Górny rzeczywiście

przedstawia pewne podobieństwo do Irlandyi, że czem tam Anglicy, tem tu rzeczywiście są Niemcy, i rozgrzeszyłem redakcyę tego pisma z tego, że swoją powieść snuła na tle życia mieszkańców »Zielonej Wyspy«, której niedola ma tyle w przeszłości i terażniejszości wspólnego z niedolą Górno-Szlązaków.

Na obfity dział korespondencyi »Katolika« zwróciłem uwagę p. Koraszewskiego.

— Jestto jedna z ważniejszych naszych rubryk, — odparł mi na moją uwagę. Codziennie niemal otrzymujemy ich po kilka. Choć pisane nie zawsze najlepszym językiem, ułatwiają nam one pracę redaktorską, a co najważniejsze są ścisłą nitką łączącą pismo nasze z czytelnikami. Pragniesz pan poznać, jak wygląda w stanie rodzimym taka korespondencya?

— Nie tylko pragnę, ale zamierzam dla ciekawości przy opisywaniu podróży moich po Szląsku Górnym, przepisać choć jedną z nich co do słowa.

— Jeżeli tak to służę panu.

Tu mi podał zapisany arkusik listowego papieru.

Pozwólcie że jego zawartością dla charakterystyki miejscowych stosunków podzielę się z wami.

»27 zeszłego miesiąca prziset do mnie jaki zakonik, który zbieran skadki na zakłat ubogich dzieci w Kluzborku, a iże

jus to tego lata drugi ras po nasej wsi chodził, pytam go się na jaki to zakłat tę kolektę zbiyra, jeżeli na katolicki cy na Wanielicki; powiada iże na Wanielicki, ja mu mówię to nie dam nic bo nas Wanielicy jesce prześladują a my katolicy ich mamy spieracz, oni nas tes nie spomagają, a on mi mówi i pokazuje iże ma od sołtysa pozwolenie, ja mu odpedam iże sołtysi niechtorzi sami nie wią na co podzwolą, i wyleczan z izby jakby go co wytrzasło; tak kochani czytelnicy gdy taki zbierać przyidzie pytajcie się przodzi na jaki zakład zbiera, a ky was w domu nie ma, to się niech żony pytają, a niedawacz innym wyznaniom ktorzi nas katolików mają jak sól w oczach, a pocuczajmy tes tych chtorzi nic nie czytają.

Korespondencyę tę, która »Katolikowi« nadesłaną została aż z pod Opolą, podajemy w niepoprawionej pisowni, ale niech nikt nie sądzi aby wszyscy korespondenci tego pisma posługiwali się tak zawikłaną. Owszem, wielu z pomiędzy nich pisze poprawnym językiem polskim, tak że redakcyja może je drukować bez zmian. Co się zaś tyczy korespondencyi takich, jak powyższa, to bez poprawek nie mogą one oglądać światła dziennego. Ale wszystkie te korespondencye, źle czy dobrze pisane, użytkowywane są przez redakcyę »Katolika« która przy ich pomocy, trzyma że się tak wyrazimy dłoń na pulsie potrzeb całej prowincyi. I jest też skutkiem tego »Katolik« dokładnym wyrazem wszystkich Szląska Górnego potrzeb.

V.

Ksiądz Bonztek w domu? — Z temi słowy zwróciłem się do starej kobiety stojącej w sieni probostwa w Bytomiu. Muszę więc zanim wprowadzonym do niego zostanę, powiedzieć wpierw czytelnikowi, kim jest ksiądz Bontzek.

Lat temu kilka, jeszcze za życia Kraszewskiego wyczytałem jego nazwisko po raz pierwszy w jednym z illustrowanych pism warszawskich. Zasłużony nestor pracowników naszych, zdawał czytelnikom tego pisma sprawę, z poematu, którego autorem, był proboszcz bytomski, ksiądz Bontzek, a który to poemat, zdaniem piszącego zasługiwał na to, aby dostąpił szerszego rozgłosu. W poparciu swojego zdania, Kraszewski przytoczył w tem piśmie kilka ustępów z tego poematu (który nosił tytuł: »Kościół Miechowski«) i rzeczywiście przekonał mnie temi cytatai, że utwór ten nie jest pozbawionym pewnej wartości, po za rogatkami nawet prowincyi, dla której przedewszystkiem był przeznaczony. Później dowiedziałem się śledząc nie od dziś za tem, co się na Szląsku Górnym dzieje, że ksiądz Bontzek jest autorem innego jeszcze poematu: »Góra Chełmska czyli Święta Anna,« który wydał w r. 1886. pod imieniem ks. Norberta, a który choć ustępował o wiele pierwszemu, posiada przecież tak piękny początek,

że nie mogę się powstrzymać od przytoczenia kilkunastu jego wierszy.

Oto inwokacya, w rodzaju słynnej »Panno Święta, co Jasnej bronisz Częstochowy« Mickiewicza.

«Góro Chemska, piastowskich ziem stróżu wieczysty,
Czy cię strasznej powodzi grom, jak w płaszczy piaszczysty
Odzianą, w dzień potopu urwawszy od skały
Gór Olbrzymich, aż krańce grzesznej ziemi drżały
Zapędził w te płaszczyzny, aby z twej podstawy
Wypatrzył Chrobry drogę, na Zachód, do sławy?
Czy ogień uwięziony we wnętrzościach ziemi,
Szukający swobody, siły piekielnemi
Wysadził tve bazalty aż pod obłoki
Abyś dumnie patrzała na okrąg głęboki?
Czy cię woda wylęła, czy ognie przedwieczne:
Góro, teraześ święte miejsce i bezpieczne!
Boć to Michał Archanioł po zwyciężkim boju
Z szatanem, na zadatek wiecznego pokoju,
Na wysokim twym szczycie hełm rycerski złożył;
Nań patrząc, wyje piekło, świat w ufności ożył.»

Otóż goszcząc w Bytomiu, czyż podobna było nie zabrać znajomości z kapłanem pracującym nie tylko w winnicy pańskiej, ale wolny od zajęć duchownych czas, poświęcającym narodowej muzie? Jakoż zadawszy sobie, po wyjściu z redakcyi »Katolika« to pytanie, bez namysłu odpowiedziałem sam sobie, że nie podobna i zaszedłszy na probostwo, do spotkanej w sieni starej kobiety, zwróciłem się z powyższemi słowami:

— Ksiądz Bontzek w domu?

— Właśnie, panoczku, jest na obiedzie, ale za chwilę zejdzie do kancelaryi, — odrzekła przeciągając ostatnią sylabę. — Ale oto fararz idą, zawołała podbiegając ku mnie, gdym jej oświadczył, że za chwilę przyjdę.

Ksiądz Bontzek jest człowiekiem około sześćdziesięcioletnim. Wysoki, szczupły, o ruchliwych rysach twarzy, jest on obrazem tych księży, dzieci ludu, jakich spotyka się na całym Górnym Szląsku i na stoku galicyjskich Karpat. Rozpocząłem z nim rozmowę od oświadczenia mu, że bawiąc w Bytomiu, uważałem sobie za obowiązek zabrać znajomość z człowiekiem, którego nazwisko dostąpiło wielkiego rozgłosu, powiedziałem, że w swoim czasie pisał o jego »Kościele Miechowskim« Kraszewski. To go widocznie bardzo ucieszyło.

— Czy podobna? — zawołał, szybko chodząc ze spuszczonei oczami po pokoju. A ja o tem nic nie wiedziałem. Proszę przesłać mi Numer tej gazety, gdzie Kraszewski o mnie wspominał.

Rozmowa przeszła na jego pisarską działalność.

— Gdyby więcej zachęty, — odezwał się po uważnem wysłuchaniu moich pochwał, — toby i otucha się znalazła. Ale tak...

Zaczepiłem o »Górę Chełmską« — później-

szy od »Kościoła Miechowskiego« poemat ks. Bontzka.

— Jest to rzecz mniejszej wartości, — odpowiedział, pisana bardzo prędko. Wstęp czyli inwokację, którą mi pan tak chwali, napisałem dość dawno, resztę jednak dorobiłem pospiesznie bawiąc na kuracyi u wód.

Rozmowa prowadzona zrazu chłodno, ożywiała się z każdą chwilą. Ksiądz Bontzek zaczepił z lekka o trudne położenie księży na Górnym Szląsku. Położenie to rozumiałem dobrze. Póki walka kulturalna trwała, katolicyzm z zasady był nieprzejednanym wrogiem rządu, i w prowincyi, w której gościłem właśnie, opierał się jak o opokę o polskość, gdyż inaczej nie miałby podstawy pod nogami. Ale stary kanclerz połamał zęby na tej walce, poszedł pokornie do Kanossy, wyciągnął rękę do zgody. Wypadało więc być uprzejmym względem niego, a że widziano, iż mimo jego pojednawczego usposobienia, nie zdoła się odrazu osiągnąć wszystkiego, przeto »dla miłej zgody«, nie poświęcono (gdyż ten wyraz nie maluje rzeczy dokładnie) ale dyskretnie przysłonięto sobie oczy na pewne nieprawidłowości w stosunku duchowieństwa do parafian, w polskich prowincjach Prus. Nieprawidłowości te, przejawiające się w tem, że katedry biskupie w tych prowincjach zajmują nie Polacy, że wykład religii ka-

tolickiej dla dzieci polskich, odbywa się nie w polskim języku i że nie wszyscy księża władają dokładnie mową polską, choć kazania po polsku mówić muszą, w umysłach lękliwych duszpasterzy wyrodziły błędne mniemanie, jakoby poświęcano w najwyższych kościelnych sferach polskość, molochowi protestanckich Prus. Nie pojmując tego, że w polityce zasada »do ut des« dominuje, że w dziedzinie jej darmo nikt nie osiąga korzyści, że tam za wszystko płacić trzeba, zapominając wreszcie o tem, że starcie znamion odwiecznej narodowości z wschodnich prowincyi Prus, byłoby wodą na młyn protestantyzmu, który z tak niefortunnej siejby zbierałby obfite żniwó, zachwiali się niektórzy z nich w swoich zasadach, jakich byli wyznawcami jawnymi w czasie panowania sławnych praw majowych, i mogąc, nie opierali się jak należy naciskowi z góry, mającemu na celu wbrew intencyom najwyższej władzy kościelnej i interesom całego katolicyzmu, wydarcie języka milionowej ludności na Górnym Szląsku. Zaczęło się więc tu i owdzie skandaliczne protegowanie śpiewu niemieckiego, w świątyniach gdzie się dotąd rozlegał wyłącznie śpiew polski, niektórzy »fararze« stanęli w jawnem przeciwieństwie z parafianami, usłyszano poraz pierwszy, na Górnym Szląsku po walce kulturalnej z mównicy publicznej z ust katolickiego kapłana,

takie słowa, że »Górny Śląsk powinien stać na dwóch nogach polskiej i pruskiej, gdyż mu jedna polska nie wystarcza« i doszło wreszcie do tego, że w pewnej parafii, podłożono dynamit pod okna probostwa zajmowanego przez księdza jawnie nieprzychylnego językowi ludu Górno-Szląskiego, co było wypadkiem rzeczywiście zdumiewającym w prowincyi tak szczerze katolickiej, która co więcej podczas walki kulturalnej, tak dzielnie broniła interesów, swoich prześladowanych wtedy dusz pasterzy.

Rozmawiając z ks. Bontzkiem spostrzegłem, że bolał on bardzo nad trudnościami swojego i swoich kolegów położenia, że jakoby się wstydził pewnych postępów niektórych proboszczów na Górnym Śląsku, którzy więcej przez słabość charakteru, niż ze złej woli, dopuszczają się takich czynów, które bezwzględnie złe światło na nich rzucają. Ale że sam on włada dzielnie językiem polskim i pisze po polsku, że obdarzony pisarskim talentem, niezawodnie nie poprzestanie na tem co zrobił, ale doznawszy moralnej zachęty od dalszych rodaków, pracować i nadal na niwie pisarskiej będzie, przeto rozstałem się z nim w przekonaniu, że uosabia on prawdziwie dodatnią w Bytomiu siłę, i że żadna siła, nie sprowadzi go z prostej drogi, po której całe duchowieństwo Górno-Szląskie kroczyć powinno, poczucie bowiem prawdziwego obowiązku

nie rządzi się wygodnym oportunizmem i nie rachuje się ze względami chwili.

A czyż obowiązek kapłanów na Górnym Szląsku, spoczywa w czem innem, jak w podtrzymywaniu wszelkimi siłami mowy jego ojców, po wyparciu się której, i wiara ojców ostać się chyba w czystości nie może?

VI.

Podług statystyki urzędowej pruskiej, obwód Bytomski liczy 75⁰/₀ Polaków. Statystyka ta, tendencyjnie układana, jest podobno niedokładną. Ale przypuściwszy że dokładną jest, nie czuje się tego pokaźnego procentu Polaków, kiedy się chodzi po ulicach Bytomia.

Prawdę powiedziawszy, nie czuje się tego że się znajduje na ziemi polskiej, kiedy się w ogóle chodzi po ulicach miast Górno-szląskich i to nawet takich, które jak np. Wielkie Strzelce i Kozieł, leżą w powiatach liczących według urzędowych wykazów, 84 i 82⁰/₀ polaków, t. j. więcej niż gubernia Warszawska, posiadająca ich tylko jeżeli wierzyć statystyce Czyńskiego 75⁰/₀.

Nie zastanawiając się w tej chwili nad przyczynami zupełnego nieledwie wyparcia żywiołu polskiego z miast Górnego Szląska i zamknięcia takowego w granicach wsi, powiemy to tylko,

że fakt ten smutny ale bezsporny, wywołuje to następstwo, iż każdy kto przejeżdża pośpiesznie przez tę prowincję, i nie ma sposobności otarcia się o lud, sądzi naiwnie, że przejeżdża przez kraj czysto niemiecki. Czyż temu podobna się dziwić? Zaraz za roгатką graniczną Królestwa i Galicyi, na dworcach kolejowych spotyka się napisy niemieckie, służba kolejowa posługuje się z pasażerami językiem wyłącznie niemieckim, w hotelach i restauracyach kwitnie w najlepsze mowa Bismarka, — nie czuć więc nawet w miastach innego żywiołu, chociaż on przecież stanowi w kraju tak znakomitą większość. I w Bytomiu zatem, o żywioł ten się nie potrąca, — z wyjątkiem jak o tem już wzmiankowaliśmy wyżej, redakcyi »Katolika« i kilku sklepów, wszędzie na szyldach stoją niemieckie napisy, na ulicach wszyscy, których stać na tużurek lub suknię modną, porozumiewają się w tym języku, echo tylko nieśmiało nuconej przez biegnącą po wodę dziewczynę polską piosenki, zakłóca harmonję słodką, jaka na pociechę wszystkich, których we śnie i na jawie prześladowe zmora polskości Górnego Szląska, niepodzielnie zdaje się tu panować. Ale proszę zajrzeć do takiego Bytomia, Raciborza za Odrą, lub Opola na północnym krańcu tej prowincyi, w dzień jarmarku lub Niedzielnego nabożeństwa. Ujrzy się wtedy najzupełniejszą zmianę dekoracyi, poczuje się, że się jest na ziemi polskiej, że Niemcy pomimo całą swoją potęgę, stanowią

tam mało liczny element, który się rozplywa jak gruda soli w bezbrzeżnej przestrzeni — nie niemieckiego jeziora. I nie zadziwi się wtedy wcale, gdy się usłyszy oszczędne niemieckie gosposie miejskie, nieumiejące, ba nawet gardzące mową polską w dnie powszednie, jak w dnie takich jeneralnych targów, kupując gęsi lub faskę masła, wcale nieczłą polszczyzną dopraszają się poczciwych naszych wiejskich gospodyń, by im opuściły choć kilka fenigów na funcie, i odetchnie się pełną piersią, zwłaszcza gdy się wspomni, ile to wieków temu ziemia ta, dzięki naszemu niedbalstwu, poszła na pastwę obcego a tak nienawistnego dla wszystkiego wogóle co słowiańskie plemienia, i jakich to plemię środków używało, aby jej gwałtem narzucić swoją kulturę.

Znajdowałem się w Bytomiu w Niedzielę, i naturalnie postanowiłem być na nabożeństwie. Wybrałem w tym celu kościół katedralny, gdyż w nim właśnie nabożeństwo polskie odbywa się w samo południe. Kiedy wstępowałem we wrota parkanu odgradzającego kościół od ulicy, wotywa nie została jeszcze ukończoną, wypadło mi więc pomimo deszczu, stać wśród ludu, w oczekiwaniu aż się kościół z Niemców opróżni. Wmieszałem się zatem między rozprawiające półgłosem gromadki i oczekiwałem aż nadejdzie nasza kolej. Dostrzegłem odrazu, iż byłem przedmiotem niezwyklej, powszechnej uwagi. Kobiety, kupiąc się ku sobie, nieznacznie ukazywały palcem na mnie, mężczyźni głośno

zadawali jedni drugim pytania, zkąd tu przybyłem, z Krakowa czy z Warszawy, wszystkich uderzyło niepoślednio, że ubrany w tużurek, i wyglądając z pozoru na »pana«, nie poszedłem do kościoła na prawdziwie »fein« nabożeństwo niemieckie, ale że razem z nimi, chciałem pomodlić się do Pana Zastępów, jak zwykły prostak: »po polsku«. A cóż dopiero gdy otworzyłem usta, i czystą polszczyznę zapytałem się ich, z których wsi pochodzą, cóż, gdy zacząłem im rozpowiadać, że przybywam z Warszawy, gdzie w kościołach odbywają się tylko polskie nabożeństwa, gdzie nawet Niemcy nie wstydzą się głośno po polsku mówić? Wtedy utworzyło się przy mnie wielkie koło z głów ludzkich, ubranych w różnokolorowe chustki i czapki, wszyscy nachylili ku mnie twarze, jak gdyby nie chcąc uronić nic z tego co mówię, mowa bowiem moja dziwnie im trafiała do serca, brzmiała bo czyściej od tej, jaką się oni sami porozumiewają między sobą, ba nawet od tej, jaką słowo Boże głosi im ksiądz fararz w kościele. Ten podziw prostego ludu, na widok »pana« nie wstydzącego się głośno mówić po polsku, nie zadziwi nikogo, komu nie obce są stosunki ludności polskiej w państwie »prawa i dobrych obyczajów«. Toć w szkołach Szląska Górnego, gdzie szlachty wcale, a intelligencji polskiej niewiele się znajduje, gdzie księża nawet, acz nie Niemcy z pochodzenia, porozumiewają się z sobą po niemiecku, jak gdyby

wstydząc się mowy polskiej, choć ona przecież jest ojczyzną ich mową, toć w szkołach powtarzam Szląska, przez całe lata wpajano w umysły dzieci, że naród polski składa się wyłącznie z gburów, że język polski, prócz kantyczek i ksiązek do nabożeństwa, nie posiada innej literatury, toć przecież taki Karol Miarka, do 36 roku życia swego Niemiec z przekonania, narodowe odrodzenie swoje zawdzięczał tylko temu, że bawiąc przypadkowo u Stalmacha w Cieszynie, i zobaczywszy tam bogatą bibliotekę polską, przekonał się ze zdumieniem, że opiekunowie ludu Górno-Szląskiego, jego samego i jemu podobnych, dla osiągnięcia niegodziwych celów, poili trucizną fałszu.

Więc nic dziwnego, że wobec okoliczności takich, lud zebrany przed kościołem w Bytomiu, spoglądał na mnie ze zdumieniem, że mu się powoli otwierały oczy. I pomyślałem sobie dostrzegając to, jakąż błogosławioną dla Szląska Górnego byłoby rzeczą, gdyby intelligencya nasza zamiast bezużytecznie marnować ciężko przychodzący dziś każdemu grosz, na bruku Berlina lub Wiednia, przebiegała ulice takich Katowic, Bytomia, Gliwic, Koźła, Raciborza i Opola, jakież wniosłe spełniałaby ona tam posłannictwo, nie wyzuwając się z niczego, nie ponosząc najmniejszych ofiar, ale po prostu rozmawiając głośno po polsku. Słyszając »panów« porozumiewających się między sobą mową Górno-Szlązaków, nie wstydzących się tej mowy,

przyszliby oni powoli do przekonania, że »fein« językiem jest nie tylko język niemiecki, i toby miało ten błogosławiony skutek, że słabsi i lękliwsi z pomiędzy nich, uczuliby grunt pod nogami, jaki im dziś wydziera niemiecka perfidya, druzgocząc świętokradzką ręką, odwieczne ich ołtarze.

Ale refleksye te moje, wywołane zdumieniem bytomskiego ludu, nie trwały długo. Muzyka organów w kościele nagle się urwała, wrota świątyni z hałasem odemknięto, i żywa czarna fala wylała się na zewnątrz domu Bożego, w miejsce której popłynęła ze dwora fala inna. Na powierzchni tej bliższej mi i droższej od tamtej fali, wpłynąłem i ja do katedry w Bytomiu.

Nabożeństwo rozpoczął śpiew. [Wiadomo jak muzykalnym jest lud Górno-Szląski, jak ważną rolę w jego ubogim życiu, odgrywa polska pieśń. Mimo że niedolę znosi i poniewierkę, śpiewa on przy każdej okoliczności, przy narodzinach, weselu, pracy, a nawet przy trumnie. »Na piaszczystych polach Górnego-Szląska, — powiada zbieracz pieśni ludowych, prawdziwie zacny Niemiec Juliusz Roger, — wyrosły wonne kwiaty pieśni gminnej; tam mieszkali wieszczowie wśród ludu i z ludem, którzy najśliczniejsze wyśpiewywali piosenki; tam żyli skromni kompozytorowie, których imiona dawno przebrzmiały, lub może nigdy znane nie były, ale ich nuty orzeźwiające duszę i serce, nie zaginą dopóki lud żyć będzie.«.] Otóż jeżeli lud Górno-Szląski śpiewa w okolicznościach

codziennego życia, śpiewa on tem chętniej w kościele, w podniosłym nastroju ducha, — wylewa w błagalnych peniach przed Tron Przedwiecznego swoje żale, spowiada się ze swojej wiary, zamyka w nich całą swoją nadzieję. Biada tym, którzy go pieśni tej chcą pozbawić, wyrwą mu bo oni niegodnie, wszelką pociechę wśród tej »doliny płaczu«, pozbawią go moralnej podpory w doczesnej pielgrzymce, gdzie tyle materyalnych pokus, usiłuje go z prostej ścieżki sprowadzić na rozdroża. A jednak są na Górnym Szląsku tacy kapłani, którzy nie śmiejąc głośno powstawać przeciwko chóralnej polskiej pieśni w kościele, krętymi drogami starają się ją wyrugować powoli ze Świątyń Pańskich, protegując niemieckie »Cecilien Verein'y« jak gdyby uprawiające poprawniejsze od polskich pieśni. O niegodnych takich, choć na szczęście wyjątkowych usiłowaniach, czytałem w pismach polskich, bawiąc na Górnym Szląsku, słyszałem o tem z ust ludu, i ze zgrozą pomyślałem o szkodliwych dla wiary samej następstwach rozdzielenia, jakie musi być wynikiem takich niemoralnych usiłowań, pokrytych maską obłudy, księży zapominających o tem, że Fanaryotami na Górnym Szląsku być im nie wolno, jeżeli nie chcą by się lud od nich nie odwrócił z taką pogardą, jak od Fanaryotów — renegatów, w słowiańskich prowincjach Turcyi.

Nabożeństwo w Bytomiu rozpoczęte polskim śpiewem, zakończyło się śpiewem. W przerwach

między jedną pieśnią a drugą, ks. Stryczyk wygłosił kazanie, na piękny biblijny temat: »oddajcie Bogu co jest boskiego«. Wysłuchałem tego kazania z uwagą, nie bez interesu śledziłem za nitką rozumowania kapłana, i wspólnie z przepełniającym świątynię ludem, pokrzepiłem się duchowo moralną jego treścią. A kiedy umilkło ostatnie jego słowo, i rozległ się na nowo chóralny śpiew, jakby w odpowiedzi na to com słyszał, z ust moich wyrwał się cichy szept:

— Tak jest, oddajcie Bogu co jest boskiego, cesarzowi co jest cesarskiego, ale nie wydzierajcie ludowi podległemu prawom boskim i cesarskim jego mowy, nie wymierzajcie zdradzieckich grotów w to, co stanowi osłode jego życia, w jego polską pieśń, gdyż pieśń ta, acz może nie tak kunsztowna jak niemiecka, nie urąga ani boskim ani cesarskim prawom, ale natomiast jest jedyną niemal pociechą dla tych, których przyrodzonych praw strzedz, wy dusz pasterze macie najpierwszy i najświętszy obowiązek. Niechaj rzewna, w wiązanej mowie skarga górno-szląska, której początek przytaczam niżej, nawróci was na właściwą drogę i niech przekona poraz już nie wiem który, jak drogim skarbem dla ludu, którego jesteście przewodnikami, jest mowa polska w domu i pieśń polska w kościele.

Oto słowa tej skargi:

»O szczęśliwy skowroneczku
Na szląskiej krainie!

Tobie wolno, jak chcesz, nucić,
Twój śpiew nie zaginie.
Nawet kwiatki w ogródeczku
Kwitną jak przed wieki;
A pieśń polska czyż niegodna
Już Boskiej opieki?
Już z kościoła ją wyrzucić
Pragnie złość wyrodna,
Chce nam błogi spokój skłócić
Ziemskich zysków głodna.
Tak wolności ślady giną,
Rwą się serca jęki, —
Gdy zmuszone z piersi płyną
Obcej pieśni dźwięki.
Wzleć ku niebu skowroneczku
Nucąc skargi pienia:
Zanieś do stóp tronu Boga
Nasze zażalenia«.



Wzleć więc skowroneczku z niwy Górno-Szląskiej i zanieś zażalenie tego ludu przed Tron Wszechmogącego, a może łaska niebieska oświeci, niewielką, na szczęście, garstkę tych duszpasterzy, którzy jeżeli błędzą, to nie możemy przypuścić, że dla czego innego jak dlatego, iż nie wiedzą co czynią.

VII.

Związek wzajemnej pomocy robotników Górno-Szląskich, założony został w tym celu, aby zabezpieczyć pracujących w kopalniach i hutach szląskich, od wyzysku z jednej strony, a od biedy wypły-

wającej z własnej ich niemocy, z drugiej. Lubo na całym Górnym Szląsku robotnikami są prawie wyłącznie Polacy, nie nazwano przecież Związku wyłącznie polskim, ale nadano mu charakter ogólny, beznarodowościowy. I słusznie. Celem Związku nie była polityka, ale zdrowa (gdyż na wzajemnej pomocy uczestników oparta) filantropia, nie wypadało więc opiekuńczych jego skrzydeł zamykać przed żadnym z pracowników podziemi, ale raczej należało je otworzyć szeroko przed wszystkimi, bezwzględnie na to, do jakiej się oni narodowości zaliczają: polskiej czy niemieckiej. Tak też uczyniono, ale ponieważ na całym Górnym Szląsku robotnikami pracującymi w kopalniach i hutach są prawie wyłącznie Polacy, przeto z natury rzeczy, Związek ma charakter czysto-polski.

Związek ten powstały z początkowania Redakcyi »Katolika« i polskiego posła w Berlinie, czcigodnego obrońcy ludu Górno-Szląskiego, Majora Szmuli, niedawno wydał swoje statuty; właśnie kiedym bawił w Bytomiu, stanowił on »kwestyę dnia«, znajdował się na ustach wszystkich. Do Redakcyi też »Katolika« nadchodziły ciągle listowne żądania objaśnień, co Niedziela współredaktorzy tego pisma, panowie Koraszewski i Napieralski, jeździli w rozmaite strony okręgu górniczego, aby żywym słowem wyjaśniać humanitarne znaczenie Związku i korzyści, jakie z zapisywania się na jego członków, na każdego robotnika spływają.

— Jadę jutro do Szobieszowic, dużej wsi pod Gliwicami, na zebranie robotników, które spodziewam się będzie liczne, — odezwał się do mnie p. Koraszewski, wkrótce po mojem przybyciu do Redakcyi »Katolika«. Jeśli pan chce, możemy tam jechać razem.

Nazajutrz po nabożeństwie w katedrze Bytomskiej, pojechaliśmy. Kupiliśmy bilety do Gliwic, i środkiem równiny przybranej tu i owdzie w iglaste lasy i pagórki, odrosła gór Chełmskich, przetrzęliśmy niewielką przestrzeń, oddzielającą od siebie te dwa miasta. Przejeżdżaliśmy różne stacye, spotykaliśmy się wszędzie na nich z napisami wyłącznie niemieckimi, wszędzie pisownia germańska wysilała się na przeinaczenie nazw polskich. Nareszcie pociąg stanął, ujrzelśmy w niewielkiej odległości miasto. Były to właśnie Gliwice.

Gliwice, jedno z mniejszych miast na Szląsku Górnym, liczące tylko 19.000 mieszkańców, są stolicą okręgu toszecko-gliwickiego, i leżą w okolicy w trzech czwartych polskiej. Cały ten okrąg nie odznacza się urodzajnością swoich pól, ale za to obfituje w lasy i kopalnie żelaza. Ztąd też Gliwice noszą nazwę żelaznych.

W Gliwicach znajduje się redakcyja »Opiekuna katolickiego«. Pismo to, które ma za godło piękne słowa: »w pracy i oświacie przyszłość nasza«, choć wychodzi już 16 lat na Szląsku Górnym, nie potrafiło sobie zdobyć ani cząstki tego znaczenia, jakie ma

»Katolik«. Powody tego są mnogie, a najważniejszy mojem zdaniem jest ten, że jest ono redagowane nieumiejętnie, że nie posiada narodowej barwy. Do tego, nie zapełnia się oryginalnemi artykułami, ale zadawała się częściowym przedrukiem artykułów »Gwiazdy Piekarskiej«, którego-to ostatniego pisma, jest niefortunnym bratem Syamskim. Nie da się zaprzeczyć, że manipulacya taka jest arcywygodną dla redaktora »Opiekuna« księdza Przynicznyńskiego, który nie potrzebuje przysiadować fałdów nad opracowywaniem oryginalnych artykułów, ale zniechęca ona do pisma lud, który nie jest do tyła ograniczonym, aby nie widział, że zamiast zdrowego ziarna, ksiądz redaktor daje mu marne plewy. A że w dodatku pismo to, jak powiedziałem wyżej, jest pod względem narodowym bezbarwnem, i jak to u nas mówią, redakcyja onego na »dwóch ramionach płaszcz nosi«, przeto pozbawiony wszelkiej opieki lud, nic dziwnego, że woli się zwracać z prenumeratą do pism takich, które od tej opieki się nie uchylają, i które w dodatku nie wstydzą się rzeczy nazywać po imieniu, walcząc odważnie z hydrą germanizmu, która czyha na zagładę wszystkich polskich pierwiastków tej ziemi. Więc też »Opiekun katolicki« wegetuje tu, pozbawionym będąc gruntu pod nogami, a wszystko niemal co czuje po polsku w Gliwickiem, czerpie wiadomości swoje z »Katolika« lub »Nowin Raciborskich«, które założone w Raciborzu dopiero z dniem 1-go

Kwietnia 1889 r., dzięki swojej narodowej barwie, z dniem każdym zyskują coraz więcej na Szląsku Górnym przedpłacicieli. Czemuż zatem redaktor »Opiekuna« widząc to, gdyż tego nie widzieć niepodobna, nie wleje więcej serdecznej krwi w szpalty swego pisma, jak o opokę nie oprze go o to, na czem każde pismo w tej prowincyi opierać się powinno, o prawo obsiadującego tę ziemię ludu, do wiary i języka praojców?

Szobieszowice, gdzie właśnie miało się odbyć zebranie robotników, odległe są od Gliwic mniej więcej o dwie wiorsty drogi. Jestto wieś, jak prawie wszystkie na Szląsku Górnym obszerna, zamieszkuje ją bowiem kilka tysięcy dusz. W środku wsi, uderza oczy oryginalny bez wieży kościół, tuż obok znajduje się plebania, mieszkanie, jak miejscowy lud mówi: »fararza«. »'A tout seigneur tout honneur« wstępujemy zatem naprzód do fararza.

Ksiądz Materna (gdyż on to nosi taki z niemiecka przerobiony na polski tytuł) jest mężczyzną wysokim, tęgim, o spokojnej, ale sympatycznej twarzy. Typ flegmatyczny, zbliżony więcej do Niemca niż Polaka. A przecież ks. Materna Niemcem nie jest, jest on Górno-Szlązakiem, dzieckiem, jak wszyscy tu księża tego ludu, który w jednej ze swoich pieśni tak opowiada, kim jest i jak czuje:

»Jestem szląskie dziecko, Boże Tobie chwała,
Szląska nasza ziemia mnie tu wychowała.

I od szląskiej matki do niej miłość brałem,
Od ojca Szlązaka przykład otrzymałem.
Jestem szląskie dziecko, szląskiego plemienia,
Czystej przodków wiary i ze krwi i z tchnienia,
Uczucia wraz z życiem wziętem pracowite,
Miłość Boga, bliźnich, mam w sercu wyryte.
Jestem szląskie dziecko i Szlązakiem zginę;
Kocham szląską ziemię i szląską krainę.
Kocham to co nasze, jako mi Bóg miły,
Choćbym miał wysączyć krew z ostatniej żyły.
Jestem szląskie dziecko, rodu słowiańskiego,
Idę wszędzie śmiało, nie boję się złego.
Jestem szląskie dziecko, nie na próżno żyłem,
O Sobieskim Janie, z młodu się uczyłem.
Co jak w niebo westchnął i węża poprawił,
To Wiedeń i całe chrześcijaństwo zbawił.
Jestem szląskie dziecko, nie będę tłumaczył,
Za co nam Bóg dzisiaj taki los przeznaczył.
Za co teraz inni nami pogardzają,
Choć na szląskiej ziemi dobroci doznają.

Ale ks. Materna kształcił się w szkołach pruskich, w słowiańską tę duszę kropla po kropli wsiąkał pruski jad, i choć nie wątpię, nie zakaził mu jego krwi, która słowiańską pozostała, nie wpłynął na jego uczucia, które polskimi być muszą, przecież, z powierzchowności jego, z całego, że się tak wyrażę wzięcia, stał się cechą, jaka charakteryzuje tak sympatycznie, księży innych prowincyi polskich.

Przedstawiwszy się księdzu fararzowi, zostaliśmy zaproszeni przez niego do pokoju. Pan Koraszewski opowiedział przedewszystkiem, po co przyjecha-

liśmy do Szobieszowic i zręcznie naprowadził rozmowę na cel i zadanie robotniczego Związku. Ks. Materna słuchał go uważnie, nie przerywał opowiadania, zdawał się wyraźnie sympatyzować z celami i zadaniami Związku. Rozmowa zrazu powolna, ożywiła się wkrótce, ksiądz wyniósł nam całe pudło cygar, widocznie zadowolony był, żeśmy przed zebraniem złożyli mu wizytę. Mówił powoli, ale poprawnie, o potrzebach robotników Górno-Szląskich, o ich lekkomyślnem życiu i nieodkładaniu z zarobków dziennych na czarną godzinę. Jak to nie trudno było spostrzedz, marnotrawstwo ludu, któremu pasterzował, leżało mu na sercu, pragnął go z takowego wyleczyć, nie owijał bowiem słów swych w bawełnę, zwłaszcza też, że w naszym towarzystwie widział dwóch robotników, którzy złote zkądinąd jego słowa, mogli powtórzyć swoim, w podziemiach pracującym braciom. Zabawiliśmy u księdza kawałek czasu. Była godzina 4 popołudniu, zebrany lud w kościele oczekiwał wyjścia nieszpór, wypadało więc nie zatrzymywać kapłana dłużej. Jakoż pożegnaliśmy się z nim serdecznie. Ks. Materna wstał, uścisnął każdego z nas rękę, i na wychodnem ofiarował dwom towarzyszącym nam robotnikom, po kilkanaście cygar.

Poznałem odrazu po tej jego gościnności, z kim miałem do czynienia, i pomyślałem sobie, że szkoła niemiecka nie starła z tej słowiańskiej duszy jej charakterystycznego pokostu, mimo że powierzch-

wnie upodobiła go do jego współkolegów z okolic środkowego i dolnego Szląska, gdzie już dziś niestety! nikt po polsku pacierza nie odmawia.

Chwała niech będzie Bogu za to, mimo nadzieje germanizatorów, nie zetrze ona słowiańskich cech i z tej części Szląska, która cudem dotąd zachowała wśród ogólnego upadku, swój czysto polski charakter.

VIII.

Rojno i gwarno było w sali prześwietnego pana Morytza, kiedyśmy pożegnawszy się z księdzem fararzem i wysłuchawszy choralnych polskich pieśni podczas nieszpornego nabożeństwa, przestępowali jej próg, by zagaic posiedzenie Związku. Sala obszerna, o kilku oknach, napełniona była, jak to mówią »po brzegi«, widać było, że »Związek« budzi niepowszedni interes. I istotnie, na twarzach wszystkich zebranych malowała się ciekawość, połączona z przeświadczeniem, że tu chodzi o interes wszystkich. Wszyscy też w Szobieszowicach stanęli jak jeden mąż do apelu, wyczytawszy w »Katolicyku«, że ma się odbyć zebranie.

Na pierwszy rzut oka, zgromadzeni w sali pana Morytza nie patrzyli wcale na Polaków. Ubrani w kaftany, nakryci czapkami, powierzchownym swoim wyglądem niczem nie wyróżniali się od

Niemców. I tylko rozmowy prowadzone żywo, choć półgłosem, świadczyły o tem, że polskie a nie inne serca biją w ich piersiach.

Zgromadzenie robotników było tak liczne, że literalnie z trudnością docisnęliśmy się do prezydyalnego stołu. W niedalekiej od niego odległości, spostrzegliśmy urzędnika policyjnego, przysłanego tu w tym celu, by baczył, ażeby jakieś nieopatrzne gorętsze słówko, nie wstrząsnęło w posadach, potężną monarchią pruską. Jemu to, jako prawnemu przedstawicielowi porządku, pokazał p. Koraszewski pozwolenie właściwej władzy na odbycie zebrania, poczem przystąpił bezzwłocznie do zagajenia takowego.

Przy stole prezydyalnym ulokował się więc pan Koraszewski, dalej stanąłem ja z ołówkiem w ręku dla zapisywania tego, czego będę świadkiem, w końcu przybyły z Gliwic redaktor »Opiekuna katolickiego« ks. Przyniczyński. A dalej, na prawo i na lewo? Dalej kołysała się ruchliwa fala odkrytych głów ludzkich.

Zapalono lampę, głos dzwonka dał się słyszeć, p. Koraszewski wstąpił na zaimprovizowaną z krzesła katedrę i zaczął przemawiać. Mówił powoli, ale wyraźnie i pięknie. Oświadczył naprzód, w jakim celu zwołał zgromadzenie robotników do Szobieszowic, rozwiódł się nad zadaniami »Związku« i nad pożytkiem, jaki spłynąć musi na tych wszystkich, którzy zapiszą się na jego członków.

— Czy rozumiecie dobrze o co chodzi? — zapytał po chwili, przerywając nagle wątek swej mowy.

— Rozumiemy — zawołało kilkaset głosów.

— A może jest tu pomiędzy wami taki, który nie umie dobrze po polsku? niechaj więc podejdzie do stołu.

— My wszystko Polaki — rozległo się naraz w powietrzu tak głośno, że aż zatrzęsły się ściany obszernej izby.

Ostatnie te słowa powtórzył p. Koraszewski trzy razy, przypomniawszy sobie politycznie, że »Związek« ma charakter ogólny, — na każde jego jednak zapytanie, nastąpiła jedna i ta sama wstrząsająca jak grom odpowiedź:

— My wszystko Polaki.

Ale ktoś z zebranych robotników, nie uważał się snąć za Polaka, rozpierając bowiem tłum łokciami, podszedł do prezydyalnego stołu.

— Jak się nazywacie? — zapytał p. Koraszewski.

— Franz Roesler — brzmiała odpowiedź.

— Czy nie rozumiecie po polsku?

— Nein — dało się słyszeć.

— Zgodzicie się na to wszyscy — zaczął wtedy p. Koraszewski — że dla jednego, nie mogę tłómaczyć na język niemiecki całego mego przemówienia; ale proszę pana, panie Roesler, przyjąć po zebraniu do redakcyi »Katolika«, to panu wyjaśnię o co idzie.

— Kiedy więc zrozumiełiście dobrze wszystko, chodźcie teraz zapisywać się na listę członków tego dobroczyнного »Związku« — prowadził rzecz swoją dalej p. Koraszewski; — wpisowe wynosi jedną markę, którą trzeba złożyć odrazu, miesięcznie zaś składać musicie po 20 fenigów.

Zabraliśmy się zatem do wpisywania członków. P. Koraszewski wnosil nazwisko przystępującego do »Związku« do ogólnej listy, ja zaś odbierałem pieniądze i wydawałem książeczki ze statutami. I stała się rzecz charakterystyczna. Oto pierwszym, który wpisał się na członka, był właśnie ów Franz Roesler, Niemiec, który oświadczył, że nie rozumie po polsku. Należało wyzyskać tę okoliczność.

— Bracia wiarusy! — zawołał p. Koraszewski wstępując nagle na mównicę — słyszeliście jako ten tu obecny Franz Roesler, żądał przetłómaczenia mu mojej mowy na język niemiecki, pod pozorem, że nie umie po polsku. Otóż wiecie kto pierwszy zapisał mi się na listę członków? Nie kto inny, tylko ten sam Franz Roesler. Musi więc rozumieć nasz język tak dobrze jak i my, skoro po moich słowach daje na nasz Związek swoje pieniądze.

Śmiech głośny, szczery, powszechny, był odpowiedzią na to przemówienie, a i sam Roesler nie taił się ze swoją wesołością. Wszyscy spoglądali jowialnie na tego Niemca z musu, który może dlatego zamanifestował się tak wyraźnie ze swoją

nieśłowiańską narodowością, ponieważ spoglądały na niego oczy przedstawiciela tej władzy na Szląsku, która radaby każdej chwili zdusić słowiańskie życie w tej prowincyi.

Zapisywanie się na członków Związku, trwało z dobrą godzinę. Robotnicy jeden przez drugiego cisnęli się do przydydalnego stołu, podawali swoje nazwiska do listy i składali do mego kapelusza swoje grosze. I byliby zapisywali się jeszcze dłużej, gdyby nie zbrakło książeczek ze statutami. Wypadało przerwać czynność. Wypowiedziawszy więc głośno nazwiska delegatów, upoważnionych przez samych wyborców do zbierania zapisów, p. Koraszewski pożegnał zgromadzenie i przeszliśmy do drugiej izby, na nieodłączny w takich okolicznościach kufelek piwa. Ale nie długo tam bawiliśmy, wkrótce bowiem powróciliśmy do izby, gdzie się odbywało posiedzenie, i tu zasiadłszy przy długich stołach z ludem, na poufalej pogawędce i śpiewach, przepędziliśmy czas jakiś, póki godzina odejścia pociągu z Gliwic do Bytomia, nie wyrwała nas z tego miłego, i pokrzepiającego ducha towarzystwa.

Jakżebyśm pragnął, w gronie dzieci tak prostego, ale zarazem tak dzielnego i narodowym duchem owianego ludu, przepędzić jeszcze w życiu choć chwil kilka!

IX.

Wzmiankowałem już wyżej o tem, że lud polski na Górnym Szląsku, odznacza się niezwykłą śpiewnością, i że dowody tego spotyka się tam na każdym niemal kroku. Każde zatem większe zebranie, licznie w tej prowincyi rozsianych towarzyskich kółek, przeplatane jest pieśniami, których repertuar, trzeba przyznać, jest bardzo obfity.

Przybywszy do Królewskiej Huty, miasta odległego o godzinę drogi od Bytomia, a zaludnionego przeważnie polskimi hutnikami, miałem sposobność przekonać się o tem, a wieczór, jaki w towarzystwie członków miejscowego towarzyskiego kółka spędziłem, przypomniiał mi wieczory, jakie przed laty przepędzałem w gronie patriotów południowo-słowiańskich, gdzie jak nasz wielki poeta powiedział: »wino rozweselało serca ludzi, ale piosenka była dla myśli winem«.

Ale naprzód nieco o samem mieście. Królewska Huta, przez Niemców na »Königshütte« przeznaczona, liczy kilkanaście tysięcy mieszkańców. Miasto jak wszystkie Górno-Szląskie, porządne, posiada szerokie ulice, piękne kościoły i mogące być ozdobą większych nawet miast domy. Znajdują się w niem olbrzymie kopalnie węgla kamiennego, z których wydobywają rok rocznie około 30 milionów centnarów węgla, dalej kolosalne huty,

w których około 2000 robotników, produkuje rok rocznie dwa miliony centnarów stali i innych wyrobów żelaznych. Ztąd też miasto samo ma charakter wielkiej osady hutniczej, a wieczorem przedstawia prawdziwie majestatyczny widok, zapalone bowiem ogniska we wszystkich hutach i obłoki gęstego dymu unoszącego się nad wszystkimi, nadają mu niezwykły charakter. Nigdy też nie zapomnę wrażenia, jakiego doznałem lat temu dzieśnięć, wjeżdżając późnym wieczorem bryczką do tego miasta z Karolem Miarką. Zdawało mi się, że wjeżdżam do morza ognia, lub lepiej, że wstępuję w otchłanie piekielne, wpośród których uwiijały się tysiące czarnych jak potępińcy pracowników płomieni. Zaiste, kto czegoś podobnego w życiu nie widział, ten wystawić sobie nawet tego nie może i sędzę, że sam Dante nawet, wstępując w bramy nieszczęsnej krainy, gdzie »niema nadziei«, potęgą niezwykłej wyobraźni swojej, stworzyć musiał sobie przybliżony zaledwie do tego widok.

Zawitawszy ponownie obecnie po dziesięciu latach do Królewskiej Huty, zaszedłem przede wszystkim z nieodstępnym moim towarzyszem p. Koraszewskim, do członka miejscowego Kółka p. S. Przyjęci bardzo serdecznie, zaimprovizowaliśmy wieczorne zgromadzenie ze śpiewami, wypadło więc zająć się bezzwłocznie, ile że godzina była dość późna, zebraniem jak największej liczby wiarusów. Rozesłaliśmy więc telegramy do paru

okolicznych hut, i ułożywszy się z panem S., że przybędziemy punkt o godzinie 8 do jednej z restauracyi miejscowych, udaliśmy się do handlu kolonialno-łokciowego pana N., który był przedstawicielem w tem mieście polskiego kupieckiego pierwiastku, a bez którego podobne zebranie obyć się w żaden sposób nie mogło. W panu N. poznałem odrazu prawdziwie dzielnego narodowca. Choć nazwisko niemieckie nosi, wie on doskonale kim jest, i zdaje się, że żadna siła nie potrafiłaby przytłumić w nim tej świadomości. Ugościwszy nas tem, na co jego chatę stać było, przedstawił nam swoją żonę, ujmujący typ młodej skrzętnej Szlązaczki i dwóch synków, Stanisława i Miecysława.

— Tych już Niemcy — powiedział nam, uśmiechając się — nie przerobią na swoich, same ich nazwiska świadczyć będą o ich prawdziwym pochodzeniu.

Ale nie czas było na długie, z sympatycznym gospodarstwem w ich domu rozmowy. Zegarek wskazywał trzy kwadranse na ósmą, wypadało więc udać się na punkt zborny. Jakoż pożegnawszy się z gospodynią i dziećmi, opuściliśmy jej mieszkanie, i wkrótce znajdowaliśmy się wszyscy na umówionem miejscu.

Pan S. najmuzykalniejszy z nas wszystkich, zasiadł do fortepianu i przy jego akompaniamencie rozpoczęły się śpiewy.

Na Szląsku Górnym śpiewają się przedewszystkiem piosenki Górno-Szląskie. Ale nie myślcie, aby miały one wyłącznie lokalny charakter. Na szczęście minęły już bezpowrotnie te czasy, kiedy Górno-Szłazacy wstydzili się miana Polaków, zowiąc się »Prusakami mówiącymi po polsku« i prosili odprawiającego missye w tej prowincyi ks. Antoniewicza, aby ich w swoich kazaniach pogardliwie »ludem polskim nie nazywał«. Dziś już bielmo spadło bezpowrotnie z ich oczów, a tak dobrze pisma jakie czytają, jak i pieśni jakie mają na ustach, przypominają im bezustannie, że są częstką większej całości, która Boga po niemiecku nie chwali.

Kto wątpi o tem, ten niech przeczyta dwa charakterystyczne wiersze poniższe, które tak dosadnie malują uczucia, tego nieszczęsnego a tak wiernego nam ludu. Wiersz pierwszy nosi tytuł: »Jeśli Ciebie zapamięta«, a brzmi w całości tak:

A jeśli Ciebie zapamięta,
Wiaro święta, moje serce,
To niech odpadnie mi zeschnięta
Prawica moja, niech oszczerce
I wrogi będą moi sędzie,
Przeklęta!

A jeśli Ciebie ja zapomnę
Ojczyzno moja, ziemio święta,
To niechaj pomrą bezpotomne
Synaczki moje pacholęta,
I niechaj serce me bez wiary
Przygniecie brzemię i ciężary
Ogromne!

A jeśli Ciebie stłumię w łonie
Ojczysta mowo, to ułomne
Me serce w bólu niech utonie
I niech się kurczy wiarołomne,
Niech ze szpon troska mię nie puści,
Niech język przyschnie do czeluści
Przy zgonie!

A jeśli puszczę Cię z opieki
Ma ojcowizno, mój zagonie,
Niechaj mię trapią wieczne spieki.
A nawet jeśli łzę uronię,
Niech spali się w pożarów dymie
I niech przepadnie moje imię
Na wieki!

Wiersz zaś drugi, który się śpiewa na znaną
nutę Krakowiaka, takimi słowy wypowiada co na
Szląsku polskim każde serce czuje:

Polska mowo święta, święta ukochana,
Z matki ust przejęta z mlekiem jej wyszana!
Milej nam niż dzwonki, dzwonią Twoje dźwięki,
Za to też winniśmy Panu Bogu dzięki.

Ludzie się uwzięli wytępić Cię wszędzie,
Ale pewnie z tego, da Bóg, — nic nie będzie.
Bieda nam, ach bieda, z tą niedolą nową,
Że nas ciągle trapią, obcą jakąś mową.

Trapią ci nas, trapią od nocy do rana,
Ale polskiej duszy nie zmieniają, oj dana!
Wiele wody w Odrze, w Wiśle jeszcze więcej,
Wiele z niej upłynie, niż nas zniemczą Niemcy.

Cieszcie się Panowie wyrazami swemi,
My zaś w ojca mowie Boga chwalić chcemy.

Kujcie nas, jak chcecie, nic nie wykujecie,
O szląskie żelazo młot swój rozbijecie!

Gdy mi stanąć przyjdzie u wieczności progu,

Wtedy polską mową polecę się Bogu,

I gasnącym głosem wyrzeknę w pokorze:

»Grzesznej mojej duszy, bądź miłościw Boże!«

Pytam teraz, jaką szansę mają na Górnym Szląsku Niemcy, zatarcia słowiańskiej barwy tej prowincyi, jeżeli dzielne jej dzieci, tak dosadnym językiem ślubują mowie swoich praojców dozgonną, a nawet i pozagrobową wierność?...

Otóż na zebraniu, o którym mowa w Królewskiej Hucie, rozlegały się w powietrzu takim duchem owiane piosenki. Śpiewaliśmy wszyscy chórem: »Powitanie braci Polaków«, »Znasz ty tę ziemię co z swych kruszców słynie«, »Niechaj drogi Górny Szląsk żyje i język ojczysty«, wreszcie pieśni, które urodzone poza granicami tej prowincyi, śpiewane są w niej przecież tak powszechnie, jak nad brzegami Wisły, Warty i Sanu. Z każdą prześpiewaną piosenką, nowy ogień wstępował w serca nasze, czuliśmy się zbliżonymi duchem do siebie, nic sobie nie robiąc z uzbrojonej bagnetami pruskiej potencji, przed którą świat materyi drży, ale której świat ducha urąga, — było nam wszystkim dziwnie błogo na sercach. A gdy po śpiewach, z ust naszych połały się potoki gorących przemówień, gdyśmy wypowiedzieli jedni drugim co czujemy, wtedy zdało nam się wszystkim, że przeszkody

tamujące nasz związek prysły nagle jak tabliczki lodu pod pocałunkami płomiennego słońca, że jak w tej chwili złączeni byliśmy przy jednym stole, tak złączeni jesteśmy przy ciężkiej taczce codziennego żywota. I ani obejrzeliśmy się, jak zegar ponuro na ścianie wydzwonił godzinę 2 po północy i przypomniiał nam, że pora spoczynku nadeszła i że »państwo prawa i dobrych obyczajów« w granicach którego się znajdujemy, wzbrania obywatelom przy kieliszku i polskiej zwłaszcza piosence, witać niezmrużonem ani na chwilę przez całą noc okiem, różowy świt rodzącej się nieśmiało jutrzenki.

X.

Niemieckie Piekary leżą nad samą granicą Królestwa Polskiego. Wchodzisz na wzgórek usiany kapliczkami przypominającemi stacye męki Pańskiej, przerzucasz wzrok przez wąską rzeczółkę odgraniczającą dwa państwa od siebie, i oczy twoje padają na straż graniczną, przyodzianą w inną szatę niż straż, jaka tu na Szląsku baczy uważnie na to, by polski żywioł nie wzmagął się, ze szkodą niemieckiego z każdym dniem na siłach.

Niemieckie Piekary pamiętne są w historyi naszej. Tędy z dzielnem swoim wojskiem, ciągnął w roku 1683 na odsiecz srodze naciskanemu przez Turków Wiedniowi, bohaterski Jan III. Sobieski,

tu obrany na króla polskiego August II. elektor saski, przystąpił do związku z religią katolicką. Oprócz tego, Niemieckie Piekary od wieków zażywają na całym polskim Szląsku wielkiej sławy, w tutejszym bowiem kościele, wzniesionym przez świętobliwego kanonika Ficka, na miejscu dawnego, znajduje się słynny cudami obraz Matki Boskiej Piekarskiej.

V [Również w ruchu umysłowym polskim na Szląsku, Niemieckie Piekary mają swoją wybitną kartę. Tu od najdawniejszych czasów, drukowały się szeroko na całym zachodzie polskim rozpowszechnione książki do nabożeństwa i kantyczki, tu wreszcie dziś od lat dwóch wychodzi »Gwiazda Piekarska« z dodatkiem noszącym tytuł: »Przyjaciel Domowy«. Czyż więc podobna było, goszcząc na Szląsku Górnym, nie zawitać do Niemieckich Piekar?]

Przybyłem tu z Bytomia w samo południe w towarzystwie p. Koraszewskiego. Rozejrzawszy się po miejscowości, która ma wygląd dużej, porządnej wsi, zaszliśmy do proboszcza, księdza Nerlicha. Przyjęci gościnnie, nie bawiliśmy przecież u niego długo, ks. Nerlich bowiem wybierał się właśnie do elementarnej szkoły na naukę katechizmu, który niestety dzieciom polskim, zmuszony jest wyklądać po niemiecku.

— Zapraszam panów z powrotem do siebie — odezwał się do nas podnosząc z miejsca — nie zabawię w szkole długo.

Opuściwszy plebanię udaliśmy się do redakcyi »Gwiazdy Piekarskiej«. Gwiazdę tę faktycznie wydają panowie Świder i Czerniejewski. Obaj naturalnie Polacy, ale gdyby kto z pisowni nazwiska pierwszego, sądził o jego narodowości, wziąłby go niezawodnie za Niemca. Wyobraźcie sobie bowiem, że będąc Polakiem i wydawcą pisma polskiego, nie podpisuje się on jak Bóg przykazał: Świder, ale z niemiecka »Schwider«. Dziwić się trzeba, że nie wstydzi się dziwoląga, jakiego z osobą swoją połączył.

Pan Schwider jest jeszcze młodym człowiekiem. Zaszedłszy do niego, zacząłem z nim rozmowę o piśmie, które wydaje, zwracając jego uwagę na to, że tak mało jest ono narodowem, że tak ostrożnie traktuje kwestye drażliwe na Szląsku Górnym. Rzeczywiście tak jest, »Gwiazda Piekarska« bowiem, podobnie jak »Opiekun Katolicki« ks. Przynicznyńskiego, tyle tylko ma wspólnego z polskością w tej prowincyi, że podobnie jak »Katolik« i »Nowiny Raciborskie« pisana jest po polsku.)

Pan Schwider wziął do serca ten zarzut i celem przekonania mnie, że i jego »Gwiazda« głos stanowczy czasami w kwestyach drażliwych podnosi, pokazał mi Nr. 1 swego pisma z r. 1888, którego wstępny artykuł, rzeczywiście był niejakiem jego usprawiedliwieniem.

Oto ten artykuł:

Tak kochani czytelnicy, zastanówmy się z rozważą nad dzisiejszem położeniem naszym, a dojdziemy do przekonania, że jeżeli nie będziemy bronić tych drogich darów pozostawionych nam jeszcze z woli Boga przez pra-ojców naszych, jakoto: strzech rodzinnych, narodowości naszej, języka ojczystego, obyczajów, ziemi własnej, religii ojców naszych, i to bronić wszelkimi sposoby, na każdej drodze — w takim razie, cóż się z nami stanie, a jeżeli nie z nami już, to z synami i wnukami naszymi?

Zapyta może niejeden z was mili sercu naszemu czytelnicy, jak bronić mamy tych najświętszych praw naszych? Otóż co do tego, weźmy sobie za wzór Niemców, spojrźmy na nich, a zobaczymy, jak to oni wszędzie i na każdym kroku, bronią praw swoich, swego języka. Nie usłyszymy ich mówiących innym, jak tylko swoim narodowym językiem i nim się też szczyć. A co do ziemi, to strzech swoich nie pozbywają się tak lekko, jak to u nas się dzieje, lecz przeciwnie, nabywają o ile tylko mogą coraz to więcej. Otóż czynmy i my tak. Starajmy się być oszczędnymi, a nie będziemy potrzebowali zbywać w obce ręce ziemi naszej, strzech naszych rodzinnych. Nie przemawiajmy w domu naszym innym, jak tylko ojczystym naszym polskim językiem i to wszędzie, gdzie tylko możemy — i szczyćmy się nim, jako dziedzictwem drogich nam ojców i matek naszych. Nie przestawajmy być Polakami. Niech każda rodzina polska, całemi siłami swemi strzeże i pilnuje w ognisku swoim, czystości narodowych obyczajów. Każą w szkołach dzieciom naszym mówić tylko po niemiecku — to my za to mówmy z niemi w domu po polsku i wpajajmy w nie uczucia polskie, boć w domu nam tego nikt nie broni. Zechcą nam odkupić ziemię i strzechę naszą — nie sprzedawajmy jej, — lecz wszelkiemi sposoby brońmy się od wydania jej w ręce obce — bo to rzecz święta, to dar ojców naszych, okupiony nieraz krwawym ich potem. Chcianoby nam narzucić obcą

wiarę, odebrać religię ojców naszych — brońmy jej choćby do męczeństwa. W tym wypadku, zapatrzmy się na pozostawione nam przykłady Świętych Pańskich i Dziewic świętych, nieraz tak młodziutkich jeszcze, a tak wytrwałych, których żywoty nieraz wam kochani czytelnicy dlatego właśnie w swej gazecie podajemy, do której też czytania i zapisywania się coraz liczniejszego na nią, nieustannie was zapraszamy«.

Niestety, tak energiczne artykuły, należą w »Gwiazdzie Piekarskiej« do prawdziwych rzadkości, ale mam nadzieję, że rzadkością w przyszłości być przestaną, z wielką bowiem elokwencją starałem się przekonać pana »Schwidra«, że owijanie rzeczy w bawełnę, więcej szkody, niż pożytku przynosi, i że lud prędzej później, na farbowanych lisach się pozna.

Zwiedziwszy niewielką drukarnię »Gwiazdy« i przerzuciwszy humorystyczne książeczkowe wydawnictwa tego pisma, opuściłem redakcyę, spoglądając z pewnym żalem na tego młodego człowieka, któremu w naiwności ducha pewno się zdaje, że podpisując się: »Schwider« a nie »Świder«, głową przerasta ten pocziwy lud, którego jest dzieckiem i który mu daje środki do życia.

XI.

Prawdziwą klęską Górnego Szląska, jest brak na nim polskiej intelligencji. Skutkiem nacisku z góry i przeniewierstwa, szlachta szląska zniem-

czyła się doszczętnie i choć spotykamy w tej prowincyi dotąd nazwiska, przypominające historyczne polskie rody, nazwiska te już niestety wymawiane są niepolскими usty. Zdawałoby się jednak, że gdy szlachta tej prowincyi odpadła od pnia słowiańskiego i odstąpiła narodowej chorągwi, to wszystko, co przez naukę wyniesie się do góry z ludu, powracać przecież do ludu powinno. Tak jednak niestety nie jest, i jeżeli szkoła elementarna pruska, nie zdołała dotąd (i nie zdoła zapewne nigdy) zagłuszyć w dzieciach poczucia narodowego,— szkoły średnie w rękach rządu dzielny są orężem przeciwko polskości, i powoli ale skutecznie ścierają z tych, którzy przez nie przechodzą, jego rodzimą, słowiańską barwę. Ale na szkołach średnich, kończy się destrukcyjny wpływ Prusaków. W uniwersytetach, a zwłaszcza też w uniwersytecie we Wrocławiu, młodzież ta znowu przypomina sobie, że jest polską i zawraca pod sztandar krajowy. Tylko, że gdy przez uniwersytet, mało Górnoszlązaków przechodzi, a cała intelligencja górnośląska, rekrutuje się prawie wyłącznie z tych, którzy szkoły średnie ukończyli, przeto też z małemi wyjątkami, cała intelligencja tej prowincyi jest niemiecką i jako taka, przestaje zbawiennie oddziaływać na lud, którego krwi jest krwią i kości kością.

Ale nie wszyscy nawet z pomiędzy tych, którzy wyższe nauki odbierają, przyznają się w następstwie otwarcie do narodowości polskiej. Sto-

suje się to zwłaszcza też do księży, z małemi wyjątkami germanizujących powoli ten lud. Powtarzamy z małemi wyjątkami, na palcach bowiem wyliczyć na Szląsku możnaby dziś takich, którzy gorliwie stoją przy języku ludu. Dawniej było tam pod tym względem inaczej, Górny Szląsk stanowił część składową biskupstwa krakowskiego, kandydaci więc do zawodu duchownego, pobierali nauki w polskim Krakowie. Ale gdy myślący tylko nad zgermanizowaniem Górno-Szlązaków rząd pruski, przyłączył w początkach tego wieku Górny Szląsk do niemieckiego nawskróś biskupstwa wrocławskiego, rzeczy przybrały zupełnie inny obrót. I dopiero nieprzyjazna dla religii katolickiej polityka żelaznego Kanclerza, obudziła w zniemczonych księżach poczucie narodowe. Jak żołnierz napadnięty zniemacka przez potężnego przeciwnika, spotęgowywa swoje siły, łącząc się z tymi nawet, których dawniej pogardliwie kopał nogami, tak zniemczone duchowieństwo Górno-Szląskie, widząc się zaatakowanym na całej linii przez sławne Prawa Majowe, zrozumiało dzikość swojego położenia i wyciągnęło ręce o pomoc do tego samego polskiego ludu, który niedawno tak gorliwie niemczyło i którym pogardało. Widząc, że aby podjąć rękawicę rządową, niepodobna trwać w dawnym błędzie, dotknęło struny polskości przebiegającej serca Górno-Szlązaków i struna ta głośny dźwięk wydała. Ale gdy książę kanclerz niemieckiej monarchii, przeko-

nawszy się, że jego walki kulturalnej nie uwieńczy zwycięstwo, na całej linii zatrąbił do odwrotu, gdy dziwaczny gmach sławetnych Praw Majowych, walić się zaczął i rozpadać na gruzy, gdy jednym słowem, nastąpiła ugoda z Rzymem, księża Górno-Szląscy (mówimy zawsze nie o wyjątkach) zamiast przez wdzięczność dla tego ludu, który ich w dniach cierpienia podtrzymywał, który im w każdym dniu obficie na ofiary znosi odjęty sobie od ust grosz, stanęli jak jeden mąż przy rządzie, i za przykładem swego biskupa, wbrew niezawodnie intencyom Stolicy Apostolskiej, która w interesie swoim nie może pragnąć zagłady żadnej katolickiej narodowości, rozpoczęli mniej lub więcej otwartą walkę z polskością. Walka ta ujawniająca się n. p. wprowadzaniem kazań niemieckich obok polskich, tam gdzie mała garstka nawet Niemców katolików język polski doskonale rozumie, na protegowaniu »Caecilien Vereinu« w tym celu, aby powoli, nieznacznie, chóralne pieśni polskie w kościele zastąpić niemieckimi, wywołuje ten opłakany skutek, że lud powoli ale stanowczo odwraca się od swoich duszpasterzy, że jawnie większość ich piętnuje ohydą (zwłaszcza też dla duchownego) mianem germanizatorów, że rozluźniać się zaczyna ten duchowy związek, jaki w interesie Kościoła, łączyć powinien proboszcza z parafianami. Jest więc źle, nie wahajmy się tego wyraźnie przyznać, coś jak powiada Szekspir o państwie duńskiem, zepsuło się

w hierarchii katolickiego duchowieństwa na Górnym Szląsku, i tego ten tylko nie widzi, kto jak np. dzisiejszy ksiądz biskup wrocławski, patrzy na wszystko rządowemi pruskiemi oczami. Ale widzą to dobrze zacni i sprawiedliwi księża w téj prowincyi, widzi prassa, która od czasu do czasu notuje fakta, głośno wołające o pomstę do Boga, widzi lud, który dziś już dojrzał, wie czem jest, i czem być powinien. Nadewszystko też, widzi to doskonale taki jak ja przyjezdny na Szląsk Górny, który jak ja miał tam sposobność otrzeć się o wszystkie społeczne warstwy, wejrzeć bezstronnemi oczami we wszystko. Taki to, nie może bez głębokiego bólu mówić o tem, co tam pod tym względem niestety dostrzegł, nie może nie zastanowić się nad okropnemi skutkami błędu, w jakim trwa znakomita większość katolickiego duchowieństwa na Szląsku Górnym, nie może wreszcie nie wstrząsnąć się na samą myśl, że gdy tam rzeczy tak dalej pójdą, zdradzony lud, jak to już wyżej powiedzieliśmy, odwróci się z pogardą od swoich duszpasterzy, jak słowiański lud za Bałkanami, od swoich fanaryotów-renegatów.

Księża Górnoszląscy, czyż wam uśmiecha się taka rola, jaką w innej równie słowiańskiej jak wasza prowincyi, odegrali trucizną cudzoziemskiego pocucia przesiąkli na wskrós duchowni?...

XII.

Opuściwszy redakcyę »Gwiazdy Piekarskiej«, skierowaliśmy nasze kroki w stronę mieszkania »farrarza«. Była godzina 12 w południe, mnóstwo dzieci szczebiocząc wesoło po polsku, z tabliczkami i książkami w rękach, gromadkami biegło w stronę gęsto zabudowanej wsi, był to więc znak, że nauka religii w szkole skończona. Można zatem było bez skrupułu zająć parę godzin czasu księdzu Nerlichowi, zwłaszcza też, że on sam upoważnił nas do tego. Z prawdziwem więc zadowoleniem wchodziłem w progi plebanii, ile, że pragnąłem poznać bliżej tego księdza, o którym słyszałem, że jest typem kapłana ostrożnego wprawdzie bardzo w stosunku do rządu, ale uchylającego się skrupulatnie od roli kata, jaką ten rząd radby mu, podobnie jak i wszystkim wogóle księżom na Szląsku polskim, względem języka jego parafian powierzyć.

Ksiądz Nerlich jest mężczyzną niezmiernie sympatycznym. Lat 60, wzrostu wysokiego, o twarzy, na której prawość wyryła swoje niestarte piętno, i oczach, na których twarde życiowe koleje pozostawiły swój ślad, robi on wrażenie dobrotliwego ojca, który przeżywszy wiele i ukochawszy wiele, nauczył się wiele przebaczać. Powolny i zastanawiający się w mowie, ożywia się gdy zaczepi

o swoją Kalwaryę Piekarską, którą przyozdabia wspaniale, w kaplice przypominające stacye męki Pańskiej. Rzeczywiście też, Kalwarya ta jego, jest godną pod każdym względem widzenia.

Tuż za kościołem, nad samą granicą Królestwa Polskiego, wznosi się rozległy zielony pagórek, przeglądający się w wodach rzeczółki, podmywającej jego stopy. Otóż na tym to pagórku, poprzednik dzisiejszego proboszcza piekarskiego, ks. Purkop, umyślił wystawić kaplicę na pamiątkę męczeńskiego żywota Ukrzyżowanego, ale że był on człowiekiem mało estetycznie wykształconym, albo też może nie rozporządzał dostatecznymi środkami, przeto to co pozostawił po sobie, robi wrażenie naszych wiejskich kapliczek, stawianych po wsiach Królestwa, przez domorosłych budowniczych. Następcą księdza Purkopa na probostwie, został właśnie ks. Nerlich i jemu przypadł w udziale obowiązek dokończenia pracy swojego poprzednika. Wziął się też odrazu raźnie do dzieła, ale postanowił doprowadzić je do skutku, z uwzględnieniem wymagań wierności historycznej i sztuki. Jakoż kierując się radami ks. Władysława Schnejdera, który czas dłuższy przepędził w Jerozolimie, te kaplice, które się starannie przerobić dały, poprzerabiał celem upodobnienia ich do kaplic rzeczywistej Kalwaryi w Ziemi Świętej, na innych zaś miejscach pagórka, powznosił z czerwonej cegły kaplice nowe, przyozdobivszy ich ołtarze w dzieła snycerstwa, graniczą-

cego bardzo blisko ze sztuką. Kaplice te, mogłyby być ozdobą każdego wielkiego nawet miasta. Wzniesione z uwzględnieniem wszelkich wymagań prawdy historycznej i estetyki, ugrupowane we wdzięcznych liniach, przyozdobione wewnątrz artystycznie, dają one obraz prawdziwie wspaniały i czasem, gdy zostaną wykończone, stanowić będą niepospolity magnes dla Piekar.

— Niedawno, — opowiadał nam ks. Nerlich, — zwiedzał Kalwaryę minister oświaty Gossler, i dziwił się, skąd biorą się pieniądze na takie wspaniały jak tu i w ogóle na całym Górnym Szląsku kaplice i kościoły. Odpowiedziałem mu, że pocziwy nasz lud, dostarcza nam potrzebnych środków. Jedni znoszą nam pieniądze, inni dają darmo pracę i tak powoli dźwigamy tu z niczego domy Boże, na podziw wszystkich, którzy zmateryalizowani do szpiku kości, na żadną ofiarę na cel duchowy, zdobyć się nie są w stanie.

P o c z c i w y n a s z l u d, wyraz ten wymówił czcigodny pasterz z prawdziwem rozrzewnieniem, wiedząc o tem, jak wielką lud ten jest na Szląsku Górnym siłą, dla nie tak dawno jeszcze w Prusach srodze prześladowanej wiary, i jaką opiekę nad jego duchowemi skarbami roztaczać winni poświęceni słudzy Kościoła, wzamian chociażby za serce, jakie on im okazał w dniach panowania bezwzględnych Praw Majowych. P o c z c i w y l u d, czemuż przecież inni kapłani Szląska, spotykający się również

jak ks. Nerlich na każdym kroku z jego ofiarnością, radzi przykładają rękę do wydarcia mu tego, co na równi z wiarą od wieków, czcić on przywykł, jego praojców języka?...

Zwiedzenie Kalwaryi i kościoła, zajęło nam ze dwie godziny czasu. Należało już wracać do Bytomia, ale uprzejmość proboszcza piekarskiego, stanowczo sprzeciwiła się temu.

— Zapraszam panów na obiad, — odezwał się z staropolską gościnnością, — nie liczyłem wprawdzie na was, ale podzielę się z wami tem co mam.

Niepodobna było odmówić. Jakoż przyjąwszy propozycję, spędziliśmy jeszcze z godzinę w towarzystwie zacnego i sympatycznego kapłana, a kiedy wreszcie nastała chwila rozstania, wsiadając na bryczkę pomyślałem sobie:

— Jakżeby to zbawiennie było dla Górnego Szląska, gdyby na wszystkich jego probostwach siedzieli tacy kapłani, jak ksiądz Nerlich, i ileżby na tem powaga samej religii zyskała, gdyby tam duszpasterstwo spoczywało w rękach tak jak jego czystych, w rękach równie daleko trzymających się od wszelkiej agitacji u dołu, jak i od brudnych konszachtów u góry, na szkodę języka, który jest kością w gardle dla dzisiejszych panów Szląska, a który strzedz od zagłady, w pierwszej linii winni katoliccy duchowni tej nieszczęsnej prowincyi, choćby dlatego tylko, że z zamarciem jego, zamrze i starodawna dzieci tej prowincyi wiara.

XIII.

Od lat wielu, cały intelektualny ruch Szląska Górnego, koncentrował się w południowo-wschodnim kącie monarchii pruskiej, wszczepionej klinem w pogranicze Królestwa i Galicyi. Bytom czy Królewska Huta, Mikołów, Gliwice czy Piekary, gdzie od dawnych czasów wychodziły pisma polskie, wszystkie te miasta, leżą na skraju Szląska Górnego, którego głową jest Opole, sercem Kozłów, podczas gdy wschodnie jego kończyny, sięgają daleko za Odrę. To skoncentrowanie wszystkich pism polskich na Szląsku na kawałku ziemi, nie przechodzącym kilku mil kwadratowych, ma swoje dobre i złe strony, ale złe przeważają, częstokroć bowiem, wchodzą one sobie na pociechę żywiołów niemieckich tego kraju w drogę, a co najważniejsze, nie uwzględniają w dostatecznej mierze, z przyczyn czysto geograficznych, potrzeb wszystkich miast i powiatów swojej prowincyi.

Pisząc o »Katoliku« bytomskim, zaznaczyłem z naciskiem, jak wielką pomocą w redagowaniu tego pisma, są korespondencye napływające do niego w wielkiej obfitości, jak one je ożywiają, czyniąc prawdziwym organem potrzeb i życzeń jego czytelników. Otóż objaśnić winienem, że korespondencye te do »Katolika« napływają przeważnie z okolic bliższych, a że te okolice są czysto hu-

tnicze, przeto z natury rzeczy nadają mu barwę pisma, interesom górników i hutników poświęconego. Redakcja »Katolika« doskonale to rozumie, nosi się bowiem podobno z projektem, pewnych wydawniczych zmian, któreby tę ujemną stronę pisma sparaliżowały, ale czy to wystąpi ze specjalnym dodatkiem dla hutników i górników, czy też w jaki inny sposób myśl zmiany urzeczywistni, zawsze pozostanie pismem, które z natury rzeczy odbijać szerzej będzie potrzeby bliższych sobie, niż dalszych powiatów. Tak jest i pozostanie z »Opiekunem« gliwickim, »Gwiazdą« piekarską i »Głosem« z Królewskiej Huty, i każdy ich numer, będzie świadectwem tego, że tylko rozrzucenie prasy polskiej po całym Szląsku Górnym, może ją wynieść na takie stanowisko, jakie w prowincyi tak przeważnie polskiej, zajmować powinna.

Prawdę tę, która każdego, kto zajrzał choć na czas krótki na Szląsk, uderzała w oczy, odczuł najpierwszy Raciborz. Stare to miasto, pamiętne w dziejach naszych przejściem wojsk Jana III Sobieskiego na odsiecz obleganemu Wiedniowi, leżące już po drugiej stronie Odry, nieopodal granicy Morawii ale jeszcze w okolicy przeważnie polskiej (wedle Czyńskiego 54 % Polaków), uczuło przedewszystkiem potrzebę własnego organu, któryby broniąc ogólnie narodowych interesów, był jednocześnie odbiciem lokalnych, odrębnych od okręgu hutniczego Szląska potrzeb.

Jakoż, za przyczynieniem się ludzi dobrej woli, organ taki w dniu 1 kwietnia 1889 r. zaczął wychodzić, i tym sposobem na dalekim zachodzie Szląska Górnego, zabłysło tak pożądane światło, rozpraszając pomroki nocne, zalegające odległe a przecież tak bliskie naszemu sercu Zaodrzu.

Zanim zapoznamy czytelnika z »Nowinami Raciborskimi« tym Benjaminem prasy górnoszląskiej, niech nam wpierw wolno będzie przejechać przestrzeń oddzielającą Bytom od Raciborza i przyjrzeć się ogólnej fizyonomii tego miasta, którego dzisiejszy władca książę raciborski, w żyłach swoich już kropli nawet krwi polskiej nie posiada.

Bytom odległy jest od Raciborza o niecałe trzy godziny drogi, koleją żelazną. Z Bytomia jedzie się do niego albo na Rybnik i Nędzę, albo na Gliwice i Kendzierzyn. Czy to jednak przerzynasz powiat rybnicki, czy gliwicki i kozielski, zawsze jedziesz ziemią słowiańską, na stu bowiem mieszkańców każdego z tych powiatów w roku 1867, liczyły one ludności polskiej od 87 do 73 %^{*)}. Ta jednorodność zaludnienia szerokiej przestrzeni szląskiej ziemi oddzielającej Bytom od Raciborza sprawia, że ogólna fizyonomia obu tych dróg jest jedna i ta sama. I tu i tam spostrzega się zatem zewnętrzny pokost niemiecki, grunt zaś widzi się

^{*)} Edward Czyński. Etnograficzno-statystyczny zarys liczebności i rozsiadlenia ludności polskiej. Warszawa, 1887, str. 11.

wszędzie na wskroś polski, i jeżeli gdzie, to tu właśnie, są na miejscu słowa Mickiewicza, wypowiedziane dla określenia wcale innych stosunków:

- »Nasz naród jak lawa,
- »Z wierzchu zimna i brudna, sucha i plugawa,
- »Lecz wewnętrznego ognia, sto lat nie wyziębi,
- »Plwajmy na tę skorupę i zstąpmy do głębi.

Tylko że »sto lat« zamienić trzebaby tu na lat sześćset, tyle czasu już bowiem upłynęło, jak brak politycznego zmysłu w naszym narodzie, oddał tę ziemię na pastwę niemczyzny. A jednak?... A jednak, ziemia ta po dziś dzień posiada nie mniejszy procent rdzennych Polaków, od gubernii warszawskiej. Dla wszystkich pesymistów, tych upiórów złowróbnych zakażających narodu krew, jakąż nauka, jakąż wiara dałyby się z tego wyciągnąć, gdyby oni w ogóle uczyć się, i wierzyć w cokolwiek chcieli!

* * *

Raciborz, Rotibar, Rathybor, Rathwar, Ratburg, Razibar, leży na lewym brzegu Odry, która biorąc początek w monarchii habsburgskiej, w tem miejscu zaczyna być spławną dla większych statków, i płynie dalej na północ, dzieląc całą szlaską ziemię, na dwie prawie zupełnie równe części. Położenie miasta jest dość malownicze, a porządek, jaki

spotyka się w niem na każdym kroku, sromem wstydu powlec powinien czoła ojców większych nawet od niego miast Kongresówki lub Galicyi. Jak wszystkie miasta na Szląsku Górnym, i Raciborz ma przeważną ludność niemiecką. Wojskowi, urzędnicy, przemysłowcy i kupcy, wszystko to Niemcy, lub gorsi stokroć od Niemców Żydzi, wszędzie też tam słyszysz niemiecką mowę, wszędzie widzisz szyldy niemieckie. I nie zadziwisz się wcale, gdy ktoś zwiedziwszy tylko miasta Szląska Górnego, twierdzić będzie ze stanowczością godną lepszej sprawy, że prowincya ta jest czysto niemiecką, takie bowiem ale nie inne wyniesie się z niej wrażenie, jeżeli przyglądać się jej będzie w bufetach kolejowych, na rynkach miast (notabene nie w dnie targowe) i w wagonach wyższych klass dróg żelaznych. Ale wystarcza już zejść z pryncypalnej ulicy na drugorzędną w Raciborzu, aby karta odwróconą zupełnie została, wystarcza posunąć się ku przedmieściom, tym właśnie »głębiom« miejskim, aby się ujrzeć wśród zupełnie swojskiego żywiołu. Choć Raciborz nie jest stolicą Szląska Górnego, pretenduje on przecież do roli stolicy intelektualnej tej prowincyi. (Znajduje się też w nim gimnazyum ewangelickie, instytut głuchoniemych, seminaryum nauczycielskie, dwie prywatne szkoły żeńskie, szkoła żydowska, szkoła rzemiosł i kilka szkół elementarnych. Nadto wychodzą tu dwie gazety niemieckie, śledząc bacznie za najdrobniejszym nawet objawem

życia polskiego na Szląsku i nie wahajmy się tego wyznać, denuncyując te objawy, przed argusowem okiem liberałów berlińskich. To uprowadzenie Raciborza w tyle ognisk rozlewających dokoła pęki promieni (naturalnie niemieckiego) światła i ciepła, Niemcom tutejszym nie na żarty zawraca w głowie, uważają oni Raciborz za mały Berlin lub przynajmniej za Lipsk, zapominając o tem, że w powiecie, którego to miasto jest stolicą, są oni na morzu polsko-morawskim, nieznaczną wysepką. (18%). Pojąć więc łatwo, co za krzyki oburzenia powstały w ich łonie, kiedy na początku zeszłego roku, rozeszła się w Raciborzu wiadomość, że nieliczna miejscowa inteligencja polska, zamierza wydawać w tem mieście pismo polskie.

XIV.

Założenie w Raciborzu pisma polskiego, poprzedzone zostało, przez założenie »Towarzystwa polsko-górnoszląskiego«. Było to bardzo logiczne. W wielu miastach górnoszląskich, towarzystwa takie, czyli kółka istnieją, budząc ruch i życie wśród zasypiających snem słodkim żywiołów i nawołując je do myśli i pracy. W Raciborzu podobnego towarzystwa nie było, miejscowe siły polskie marniały w bezczynności, trzeba więc je było wpierv zebrać około jednego ogniska, zrobić bilans tego

co po polsku czuje i myśli w mieście. Jakoż, za pozwoleniem miejscowej władzy, w Październiku 1888 r. Towarzystwo polsko-górnoszląskie, zawiązane w Raciborzu zostało i w krótkim czasie założyciele onego doszli do tego przekonania, że są dość silni do wystąpienia na widownię z organem własnym.

Może nie będzie pozbawionem ogólniejszego interesu, jeżeli pozwolimy sobie w tem miejscu zapoznać czytelnika ze statutami tego Towarzystwa.

Oto ustawy obowiązujące Towarzystwo :

§. 1.

Zadaniem Towarzystwa jest wspólna towarzyska zabawa i wzajemne pouczenie się, tak w rzeczach przemysłu dotyczących, jako i w rzeczach naukowych, z wykluczeniem polityki.

§. 2.

Członkiem Towarzystwa może być każdy moralnie się prowadzący Górnoszlązak. Zgłoszenie na członka następuje piśmiennie lub osobiście, przyjęcie następuje przez głosowanie kartkami, $\frac{2}{3}$ głosów rozstrzyga. Zawiadomienie następuje piśmiennie. Każdy nowo przyjęty członek, zobowiązuje się bezwarunkowo uchwały i statuta akceptować, wpisową należność 1 markę wstępnego i miesięczną wkładkę 30 fenigów uiścić.

§. 3.

Każdy członek, który nie wypełnia powinności względem Towarzystwa, albo niemoralne życie prowadzi, bywa z Towarzystwa wykluczonym.

§. 4.

Należytość wpisowa przeznaczona jest na kapitał żelazny (czyli nienaruszalny). Wkładki zaś i inne wszelkie dochody, prze-

znaczone są na wydatki Towarzystwa, utensylja, bibliotekę i gazety.

§ 5.

Zwyczajne posiedzenia odbywają się tygodniowo w każdy Wtorek. Nadzwyczajne, w pierwszą Niedzielę po pierwszym każdego miesiąca, od 2 do 4 godziny po południu. — Walne zebrania zaś, są kwartalne. Na posiedzeniach toczą się sprawy wszelkiej treści, prócz czysto politycznej i religijnej.

Walne zebrania są na to, aby Zarząd zdał sprawę z czynności swojej, jako ze stanu skarbu i biblioteki. Przewodniczący jednemu z członków Towarzystwa obrany, a do Zarządu nie należący, który również osobnego do pióra wzywa pisarza.

§ 6.

Zarząd wybiera się $\frac{2}{3}$ głosami członków zwyczajnych na rok jeden, który składa się z 7 członków, tj. z przewodniczącego i zastępcy, skarbiego, sekretarza, bibliotekarza i 2 ławników.

§ 7.

Goście mają wstęp wolny — po poprzednim przedstawieniu się przewodniczącemu — i członek wprowadzający gościa, jest za niego odpowiedzialnym.

§ 8.

W razie rozwiązania Towarzystwa, obecni członkowie rozporządzają majątkiem pozostałym.

Z A R Z Ä D :

Burgel, prezes.

Lewandowski, zastępca.

Niziński, sekretarz.

Szczęśny, skarbnik.

Kąsinowski, bibliotekarz.

Pytlik, *Theimert*, ławnicy.

Założenie zatem tego Towarzystwa, poprzedziło o 5 przeszło miesięcy wydawnictwo pisma, którem były »Nowiny Raciborskie.« Pismo to, rodziło się w okolicznościach ciężkich. Powiedzieliśmy wyżej, że Raciborz wyznaczył sobie wybitne miejsce w rzędzie ognisk rozlewających dokoła światło niemieckie, że zapominając o warunkach geograficznego położenia, nadawał sobie charakter rozsądnika niemczyzny na polskim Szląsku. Przez całe też wieki, tłumił on jak mógł życie polskie dokoła, i cieszył się błogą nadzieją, że przy niebycie intelligencji polskiej, słowiańskie żywioły okolicznych powiatów, z czasem rozleją się w morzu niemczyzny. Aż tu oto przychodzi nagle ktoś, i zamierza dopomnieć się o przysługujące rdzennej ludności miasta i okolic prawa, powiedzieć jej czem rzeczywiście jest, czem być powinna, ukazać jej podniosłe ideały, ku którym dążąc, podnieść się może na stopień godny ludu osiadłego na Szląsku od lat tysiąca. Pojąć więc łatwo, że sam zamiar czegoś podobnego, wywołać musiał w łonie intelligencji niemieckiej Raciborza, wrzenie. Podniosły się więc naprzód chóralne krzyki na »wielkopolską agitację« (grosspolnische Agitation), na zalew niemczyzny przez polskość, posypały się denuncyacye do żydowsko-liberalnych pism Wrocławia i Berlina, a jeden z prowodyrów miasta, nie wahał się publicznie »zamiaru założenia polskiego pisma w Raciborzu, nazwać »hańbą

kultury niemieckiej«. Krzyki te jednak o tyle głośne, o ile zuchwałe, nie przerażyły i nie obezwładniły garstki intelligencji polskiej. Stojąc na podstawie prawnej, tj. takiej, na jakiej w okolicznościach dzisiejszych stać wszędzie powinniśmy, postanowiła ona bez względu na przeszkody, projekt swój doprowadzić do skutku i nie zrażając się niczem, nawet trudnością najęcia lokalu na redakcyę, w pamiętnym w dziejach polskości w Raciborzu dniu 3 kwietnia 1889 r. puściła w świat pierwszy numer »Nowin Raciborskich.«

Zdaje nam się, że najlepiej zapoznamy czytelników z programem nowego pisma, jeżeli przedrukujemy dosłownie, z okazowego numeru »Nowin« artykuł wstępny.

Oto ten artykuł:

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

Z tem katolicko-polskiem pozdrowieniem, wstępują »Nowiny Raciborskie« w progi wasze, kochani Górnoślązacy, z hasłem na czele: »Oświata i praca naród z bogaca!

Praca naród z bogaca! Praca uszlachetnia człowieka, pracą zdobywa on sobie byt niezależny, — praca chroni go od złych myśli, praca czyni go dopiero człowiekiem.

Ale praca bez oświaty, to praca bez celu, to praca z dnia na dzień, bez owoców. Oświata dopiero wskazuje pracy naszej wznioślejsze cele, dążące do coraz to większej doskonałości, oświata rozszerza zakres naszych wiadomości, uczy nas myśleć i użytkować wiele rzeczy, które Bóg w swem bezgranicznem miłosierdziu, na użytek ludzi stworzył. Oświata

Na Górnym Szląsku.

zbliża nas zarazem do Boga, który wszystko stworzył, i wszystkim tak mądrze kieruje, oświata otwiera dla nas skarby naszego języka ojczystego, skarby, których mamy tak wiele!

Praca daje nam chleb codzienny, pokarm dla ciała, oświata kształci ducha naszego i czyni go przystępnym dla myśli szlachetnych i uczuć wznioślejszych.

Krzewienie i popieranie dwóch tych niezbędnych warunków bytu ludzkiego — oto główny cel »Nowin Raciborskich.« Zachęcając Was zawsze do pracy, podawać wam będziemy, kochani Górnoślązacy, zdrowy pokarm duchowy, który zajmie was i rozerwie po ciężkiej pracy dni powszednich. »Nowiny Raciborskie« podawać wam będą wieści ze świata całego, służyć Wam będą zdrową i chrześcijańską radą w każdej potrzebie życia społecznego, opowiadać Wam będą o wielkich mężach Kościoła i narodu polskiego i o dawnych dziejach naszych.

»Nowiny« budzić w Was będą zamiłowanie do naszego języka polskiego, który nadał nam Bóg, i który odziedziczyliśmy po przodkach naszych. »Nowiny« podawać Wam będą piosnki polskie ku ucieście i zabawie, i wiele pożytecznych rad i wskazówek, potrzebnych w pożyciu domowym i gospodarskim.

Oto główny cel, i główne zadanie »Nowin Raciborskich.« Przypatrzcie im się bliżej, otwórzcie dla nich głowy i serca wasze, sądźcie o nich łaskawie, a polubicie je na pewno.

Oby »Nowiny Raciborskie« znalazły się w każdej chacie szląskiej, w której mieszka jeszcze stara nasza wiara katolicka i język polski, oby utrwaliły Was w tej wierze, wzbudziły chęć do uczciwej pracy i życia pobożnego, oby utrwaliły Was także w miłości do naszej ziemi ojczystej, i w przywiązaniu do mowy ojców naszych! Oby wreszcie nawróciły wielu z złej drogi, i przypomniły im znowu język ojczysty!

Oto życzenia, któremi opatrzyliśmy nasze »Nowiny« na ciernistą drogę, na jaką wstępują.

Bracia Górnoszlązacy! Od Was zależy poprzeć nas w usiłowaniach naszych, skierowanych jedynie ku waszemu dobru! Nie żałujcie tej drobnej kwoty, którą wydacie na »Nowiny«, wróci się ona Wam sowicie. Jedynie wspólna praca, doprowadzić nas może do celu.

Licząc na szczere poparcie z Waszej strony, wręczamy do rąk waszych ten pierwszy numer naszego pisma. Przyjmijcie go łaskawie, z tą samą szczerą a braterską otwartością, z jaką i my do Was przystępujemy.

A zatem w imię Boże do pracy i oświaty! W imię Boże za wiarę i język nasz ojczysty!

Redakcja „Nowin Raciborskich.“

Artykuł ten jest istotnie programowym, od chwili bowiem poczęcia po dzień dzisiejszy, Redakcja »Nowin Raciborskich« nie przestaje najenergiczniej bronić języka ojczystego. I pod tym względem, pismo to acz najmłodsze na całym Górnym Szląsku, niezawodnie najprzedniejsze zajmuje miejsce, lubo bowiem »Katolik«, a za nim i inne pisma polskie w tej prowincyi, języka tego bronią, od chwili przecież ustania walki kulturalnej, czynią to dość oględnie, a nieraz nawet zachowują milczenie, ilekroć napaść na ten język wychodzi ze sfery zniemczonego szląskiego duchowieństwa. Pod tym więc względem, »Nowiny Raciborskie« wyróżniają się bardzo dodatnio, i przekonane zupełnie słusznie o tem, że owijanie prawdy w bawełnę, na szkodę ogółu wychodzi, ujawniają wszelkie zamachy na polszczyznę, bez względu na to, czyja ręka w pierś naszą ugodzić usiłuje. Mamy

nadzieję, że postępowanie to nie pozostanie bez wpływu na inne pisma polskie na Szląsku, zwłaszcza też, że zagrożony w najdroższych swoich interesach lud, kunktatorstwa redaktorskiego nie pojmuje, ale żąda (co miałem sposobność, podróżując po Szląsku Górnym, nieraz zauważyć) aby ci, którzy są na jego czele, nie bawili się w wielką politykę i nie szli za podmuchem wiatru, tylko stali mocno przy sztandarze, na którym złotemi głoski wypisane są słowa: »wiara i język praojców.« A »Nowiny Raciborskie« przy sztandarze tym mocno stoją i to stanowi właśnie ich na Szląsku siłę, słuszny tytuł do jaknajogólniejszego uznania. Nie wahajmy się więc echo uznania tego, przesłać nad brzegi Odry z piasków królowej wszystkich rzek polskich.

XV.

Z panem Maćkowskim, utalentowanym Redaktorem odpowiedzialnym »Nowin Raciborskich«, i z p. Ignacym Rostkiem (bratem zamieszkałego w Raciborzu, Doktora Józefa Rostka), ich nakładcą, wyjechaliśmy za miasto, by zwiedzić parę okolicznych wsi, odznaczających się porządkiem i zamożnością. Ruszyliśmy w stronę południowo-zachodnią, ku kresom polszczyzny na Szląsku, gdzie zaczyna się etnograficzna Morawja, ale jechaliśmy

jeszcze ziemią polską i kto wie czy nie najbogatszym tej ziemi zakątkiem. Nic więc dziwnego, że z wielką uwagą przyglądałem się tu wszystkiemu po drodze.

Opuściwszy Raciborz i straciwszy z oczów murowane parterowe domki zamożnych kolonistów, przysiadłe do miasta, niby dzieci do swojej matczy, wjechaliśmy do obszernego sioła, noszącego nazwę Starej wsi. Tu już uderzony zostałem widokiem, jakim podobnego nie zauważyłem nigdzie w naszym kraju. Na obszernej przestrzeni, po obu stronach szerokiej drogi, ciągnęły się, niby szereg wojska, białe murowane domy, stanowiące sadyby włościańskie. Wszystkie schludne, wszystkie kryte gontami, świadczyły najwymowniej o porządku i dostatku tych, którym ich dachy nakrycie nad głowami dawały. Można z całą stanowczością twierdzić, że w podobnych domach nigdzie włościanie w całej Polsce nie mieszkają. A że takie, ale nie inne spotykałem na całej drodze, którą odbywaliśmy, i w Studziennej, i w Sudole, i w Wojnowicach, i w Lekartowie, i w Janowicach, tj. na przestrzeni przeszło milowej, przeto doszedłem do wniosku, które informacje zasięgnięte na miejscu w dobrych źródłach, w zupełności potwierdziły, że polskie okolice Raciborza, należą do najzamożniejszych w Polsce. Że należą i do oświecieńszych, o tem miałem sposobność również się przekonać.

W Sudole, był nasz pierwszy dłuższy przysta-

nek. Wysiedliśmy z bryczki, a pragnąc poznać bliżej mieszkańców, choć jednego z tych pięknych i porządných domów, wstąpiliśmy do kolonii gospodarza Kozy. Koza był znajomym, a nawet podobno powinowatym nakładcy »Nowin Raciborskich« p. Rostka, przyjęci więc przez niego zostaliśmy z otwartemi rękami. Uradowany naszymi odwiedzinami, zwłaszcza też, że p. Rostek w osobie mojej ukazał mu gościa aż z dalekiej Warszawy, wyniósł nam ze staropolską gościnnością bochenek chleba, wielkości koła młyńskiego, masło, ser i dzban klarownego piwa. Na nic nie zdały się zapewnienia, że nie jesteśmy głodni, musieliśmy jeść i pić, inaczej bowiem ściągnęlibyśmy na siebie obrazę gościnnego gospodarza. Podczas poczęstunku, drzwi skromnie ale schludnie umeblowanego domku, nie zamykały się ani na chwilę, wchodziły i wychodziły dzieci Kozy, których ma on podobno aż kilkoro.

— A umiesz po polsku czytać? — zapytałem kilkoletniego chłopca.

— Umiem, — brzmiała odpowiedź, poparta przedstawieniem całego stanu elementarzy polskich, i popularnych książek ludowych.

Po poczęstunku, Koza wyprowadził nas z izby, by pochwalić się swoją chudobą. Istotnie, było się czem chwalić, dobytek jego bowiem, a zwłaszcza też konie, pod względem jakości, mogłyby iść o lepsze z inwentarzem niejednego z większych

właścicieli. Patrząc na to wszystko, wierzyć się prawie nie chciało, że ma się do czynienia z prostym polskim »chałupnikiem«, zdawało się, że się zostało nagle przeniesionym do którego z bogatych farmerów Anglii lub Szkocyi, lub że się zwiedza holenderskie wzorowe gospodarstwa.

— Mamy takich tu więcej, — odezwał się do nas p. Rostek, gdyśmy z podziwem przyglądali się wszystkiemu.

Istotnie, takich gospodarzy jak Koza, znajduje się wielu, bardzo wielu w okolicach Raciborza. Zwiedziwszy Sudoł, gdzieśmy przypadkowo byli świadkami hucznego włościańskiego wesela, przez Wojnowice i Lekartów, zajechaliśmy do wielkiej wsi Janowic. Tu odwiedziliśmy gospodarza Bakę, i z wyjątkiem, koni znaleźliśmy wszystko takim samem jak w kolonii Sudolskiego Kozy. Nade wszystko też mieszkanie jego, wprowadziło nas w niekłamane zdumienie. Obicia na ścianach, fajansowe naczynia i figurki na półkach i kominku, obrazy nad kanapą, meble na podłodze, wszystko tam świadczyło raz o zamożności niezwyklej, a powtóre o zamięłowaniu tego komfortu, który zawsze i wszędzie towarzyszy wzniesieniu się na wyższy szczebel kultury. A cóż dopiero, gdy stary Baka, poczęstowawszy nas po zwyczaju chlebem i serem, otworzył usta i zaczął rozpowiadać o wyborach do Sejmu, o nacisku, jaki przez pośrednictwo swoich organów rząd wywierał na polską ludność

wsi, pragnąc ją zmusić do głosowania na kandydatów miłych w Berlinie, i o oporze, na jaki pomiędzy tą ludnością natrafił! Patrząc na to i słuchając tego wszystkiego, nie wierzyło się oczom i uszom własnym, i błogosławiło się te mlekiem i miodem płynące strony, gdzie tyle przykładów pokrzepiających serce, zaczerpnąć można pod prostymi włościańskimi strzechami.

W Wojnowicach, spostrześliśmy dość duży kościół. Miłe jego kształty, a nadewszystko też dwa, ustawione przed nim, a zaopatrzone napisami czysto polskimi kamienne krzyże, zachęciły nas do zobaczenia jego wnętrza. Wypadało więc zejść na plebanie i prosić proboszcza o pozwolenie. Jakoż zaszliśmy, i zamieniwszy słów kilka z »fararzem« Kępą, wprowadzeni zostaliśmy do kościoła. Kościół ten nie robi wcale wrażenia kościołka wiejskiego, a lubo ustępuje on wspaniałym świątyniom wschodnich kresów Szlęska Górnego, przecież w Królestwie lub Galicyi byłby na wsi osobliwością. Podobnież kościół w Janowicach robi imponujące wrażenie, i wyraźnem jest świadectwem pobożności i ofiarności miejscowego ludu.

Powiedziałem wyżej, że wyruszywszy z Raciborza w stronę południowo-zachodnią, zwiedzaliśmy kresy polszczyzny na Szlęsku Górnym. Istotnie tu się ona kończy. Środkiem pól i ogrodów uprawnych, płynie spokojnie nie wielka rzeczka Cyna, i ona to stanowi granicę Morawszczyzny. Czujesz

to odrazu, kiedy wjedziesz do takich np. Szamorzowic, które choć noszą nazwę czysto polską, przecież posiadają już ludność mieszaną. Huś, zamiast gęś, uhle zamiast węgle, obijać się wtedy zaczną o twoje uszy, dźwięki najdroższe ci ze wszystkich na ziemi, zaczną ci milknąć zwolna, aby następnie rozpuścić się już w gwarze obcej. Ale nigdzie tu nie przechodzą one w niemiecką, tak dobrze bowiem na Szląsku morawskim jak i na polskim, Niemcy stanowią ledwie dostrzegalny procent ludności. To im jednak nie przeszkadza przecież krzyczeć na wszystkie strony donośnym głosem, że Szląsk cały jest ziemią czysto germańską, a co najsmutniejsze, głośnie te ich krzyki znajdują wiarę w nas samych, którzy odwróciwszy się przed wiekami od tej ziemi, i dziś jeszcze mimo jej wybitnie słowiański charakter, uważamy ją za ziemię obcą.—Niechaj więc pobieżny opis przejazdu naszego przez okolice położone za Raciborzem na dalekiem Zaodrzu, rozwieje choć w części mylne te, a tak przecież uwłaczające i polskiemu Szląskowi i nam pojęcia...

XVI.

Opole jest stolicą Szląska Górnego. Jak wiadomo, cały Szląsk dzieli się na trzy rejencye: Lignicką, Wrocławską i Opolską, która jest właśnie

Szląskiem Górnym i stanowi jego południowy odłamek. W Opolu zatem jest siedlisko administracyjnych władz prowincyi, tu się znajduje główna maszynerya jej politycznego i autonomicznego zarządu. Opole nadto, choć leży na północnym skraju Szląska Górnego, leży przecież w okolicy przeważnie polskiej, powiat bowiem, którego jest stolicą, na stu mieszkańców, wedle Czyńskiego, liczy 73 Polaków. Dwa te względy zatem zdecydowały, żem po zwiedzeniu Raciborza, pojechał do Opola.

Droga do Opola prowadzi prawym brzegiem Odry, przez Kendzierzyn, Leśnicę, Gogolin. Jak z Bytomia do Raciborza, tak z Raciborza do Opola okolica jest czysto polską. Powiat Kozielski, gdzie leży Kendzierzyn, jak to już wyżej zaznaczyliśmy, posiada 82 % Polaków, Oleśnicki 88, kilkunastu zatem procentu Niemców wcale tu nawet nie znać. Wprawdzie na stacyach kolei żelaznych, język niemiecki pomiędzy służbą kolejową podobnie jak i na innych drogach na Szląsku Górnym, prawie wyłącznie słyszeć się daje, ci Niemcy jednak z pozoru, w gruncie rzeczy są Polakami, i jak tylko zwierzchnik, czystej zazwyczaj krwi Niemiec odwróci się w drugą stronę, przemawiają między sobą po polsku. Miałem sposobność o tem się przekonać, wysiadając na każdej niemal stacyi i wdając się w rozmowę z konduktorami, wagowymi i posługaczami kolejowymi. Jakkolwiek znam do-

skonale język niemiecki, widząc jednak nacisk, z jakim go na ziemi polskiej szerzyć usiłują Niemcy, nie wahając się bałamucić ludu twierdzeniem, że nikt w tużurku chodzący, tj. należący do intelligencji, po polsku nie rozmawia, postanowiłem na Szląsku Górnym nie mówić inaczej jak po polsku, aby osobą moją kłam zadawać fałszom, rozpowszechnianym w celu prędszego zgermanizowania słowiańskiego ludu. Otóż postępując tak, miałem sposobność dokładnie się przekonać o tem, iż językiem naszym nietylko że cała niższa służba kolejowa, w tej prowincyi przemawia pomiędzy sobą, ale że go doskonale rozumieją nawet Niemcy, zajmujący tam wyższe i intratniejsze posady. I nic w tem zaiste dziwnego. Niższa służba rekrutuje się z mass ludowych, a te są na Szląsku Górnym czysto polskie, a choć ci wszyscy, którzy się za panów i zwierzchników uważają, są z krwi i kości Niemcami, przecież w kraju, gdzie stanowią zaledwie kilkanaście procentów, nie byłiby w stanie niemal wyżyć, bez znajomości języka przeważającej większości. To też go znają, a jeżeli tak rzadko dają się z nim słyszeć, wina to nasza, którzy z uprzedzającą grzecznością, we własnym kraju, nieroztropnie posługujemy się w stosunkach z nimi ich językiem. Jestto zaiste fatalny błąd, miejscowa bowiem ludność słysząc panów rozmawiających po niemiecku, powoli zaczyna wierzyć zapewnieniom swoich opiekunów, że język polski

jest wyłącznie językiem gburów, i że każdy oświecony człowiek wstydić się go powinien. Dlatego też, — powtarzam, — uważałbym za prawdziwe apostołstwo, gdyby rokrocznie przebiegali Szląsk Górny gromadnie nasi turyści, i nic nie robiąc, żadnych nie ponosząc ofiar, głośno tylko z sobą i ze wszystkimi rozmawiali po polsku!... Ofiara tak drobna, jakżeż zaiste byłaby zbawienną dla budzącego się dziś do życia polskiego Szląska.

Choć stolica Górnego Szląska, — Opole, jest niewielkiem miastem, liczy bowiem zaledwie 11.000 mieszkańców, powierzchowny też jego wygląd, ustępuje wyglądowi takiego Bytomia, Katowic, lub Raciborza, które prędzej na stolice patrzą.

Jak Bytomia, Katowic i Raciborza, jak w ogóle wszystkich prawie miast w tej prowincyi, i Opola też charakter jest przeważnie niemiecki. Na ulicach słyszysz tylko niemiecką mowę, napisy na sklepach są przeważnie niemieckie, w hotelach i restauracjach uwijają się kelnerzy Niemcy. Ale zajrzyj tu w Piątek, kiedy na rynku odbywają się tygodniowe targi, zajrzyj, a serce gwałtownie kołatać ci w piersi zacznie, gdy wspomnisz, że siedm wieków już upłynęło, jak to miasto i ta ziemia odrwane zostały od pnia wspólnego. Czytelniku, mnie tak kołatało w piersi serce, kiedy w dniu piątkowym z odwiecznem »niech będzie pochwalony Jezus Chrystus«, przebiegał wszcz i wzdłuż rynek

u stóp wieży starego ratusza, pamiętającego nie takie jak dziś czasy!...

XVII.

— Chcesz pan widzieć tutejszy sąd, — mówił do mnie łamaną polszczyzną pewien Niemiec, z którym się zaznajomiłem, jadąc z Leśnicy do Opola.

— I owszem, — odpowiedziałem. — Jako prawnika, interesować mnie on będzie bardzo.

Poszedłem.

Na końcu miasta, na obszernym placu, wznosi się z czerwonej cegły piękny budynek. Przed nim kupki ludu, rozmawiającego z sobą po polsku, dalej pole ćwiczeń dla wojska, po którem na komendę poruszają się parami biedni oderwani od roli Szlązacy, uprawiając się w manewrowanie bronią, dla zagrabienia w przyszłości jakiej znowu prowincyi potrzebnej w celu zaokrąglenia dzierżaw państwa, którego żołądek tyle już połknął, a głośnym przecież pomimo to być nie przestaje, a jeszcze dalej, łąny przyprószonej śniegiem ziemi, tej błogosławionej polskiej ziemi, która dotąd zniem, czyć się nie dała. Każdy ze stojących przed sądem, trzyma w rękę jakiś zapisany po niemiecku papier.

— Co to jest? — zapytałem, zwracając się do jednego z młodych parobków.

— To jest wezwanie na sprawę do sądu, — brzmiała odpowiedź.

— A rozumiecie wy dobrze co tam stoi?

— Gdzietam, ale we wsi zawsze ktoś taki się znajdzie, co rozumie niemieckie pisanie.

Ktoś taki! Więc warto to, pomyślałem, wyrzucać miliony na szkoły niemieckie, gwałcić naturalne prawa ludności do pobierania nauki w ojczystym języku, zohydzać cywilizację narodu, posługującego się dla osiągnięcia politycznych celów, niegodnymi środkami, aby wyuczone w szkole niemieckiej polskie dziecko, powróciwszy do domu, zapomniało doszczętnie języka, który mu młotkiem w głowę wbijano, i aby potem zaledwie ktoś taki znalazł się w całej wsi, który rozumie język propagowany przez tyle lat w szkole przemocą.

W sali sądowej, dokąd po uczynieniu tej refleksyi się udałem, rozpatrywane były sprawy obelgowe.

Na wzniesieniu, w głębi, stał stół przykryty zielonem suknem, na nim Chrystus odwrócony twarzą do ludu, i tomy książek bezładnie porzucone, a za nim trzy krzesła, na których trzy czarne, w togach i biretach postacie. To sędziowie. Z boku przy małym stoliczku, pisarz, dalej paru adwokatów, bez żadnych oznak swego urzędu, a na ławkach ciemne sukmany i jasne kaftany i spódnice ludu. Między pierwszymi i drugim, ró-

wnie czarno odziana, jak sędziowie i pisarz postać, kręciła się gorączkowo po sali. To tłumacz, nieodłączny czynnik sprawiedliwości w kraju, gdzie sędziowie sądząc pod patronatem rozpiętego na krzyżu Chrystusa, nie rozumieją dokładnie języka tych, których wedle sumienia swego sądzić mają.

Sprawy rozpatrywane w chwili, kiedy się znajdowałem w sądzie Opolskim, były to zwykłe, jak u nas mówią »obelgówki.« Procesowała się Nieszporowa z Wernerową o to, że ją nazwała »paskudną, niepocziwą kobietą«, domagała się Pokorowa kary na Koją za to znowu, że ją obgadał niegodnie w całej wsi, iż »pod krzyżem dziecko pochowała.«

— »Vergleichen Sie sich doch«, nalegał w jednej i w drugiej sprawie prezes, »pojednajcie się«, tłumaczył w jednej i w drugiej sprawie tłumacz, ale obelgi znać były zbyt bolesne, gdyż i Nieszporowa i Pokorowa pojednać się nie chciały.

Wprowadzono zatem świadków. Byli to pocziwi polscy gburzy, obsiadujący okolicę Opola.

— »Sprechen Sie Deutsch«, — zapytał prezes, »czy mówicie po niemiecku«, przełożył tłumacz.

— Nein, nie, dało się w sali słyszać.

Tu już lejce z rąk prezesa wypadły zupełnie, przeszły one do rąk tłumacza.

— Jak się nazywacie, ile macie lat, jakiej religii, czy nie jesteście krewnymi stron? — rozlegało się dokoła.

Nastąpiła przysięga, której rotę czytał tłumacz. Dla osobliwości przytoczymy ją tu dosłownie:

»Ja.... przysięgam, Panu Bogu wszechmogącemu i wszystko wiedzącemu, że według najlepszej wiedzy, czystą prawdę wypowiem, nic nie z a m y ś l ę (sic) i nic nie d o d a j ę (sic) tak mi dopomóż Panie Boże.

Jak widzicie, — język przysięgi, względnie dobry, takim też był język zeznających. Przemawiali oni wszyscy po polsku. Podczas jednak sprawy Pokorowej, pewien gbur chciał zaimponować znajomym.

— »Ich spreche Deutsch« (mówię po niemiecku) odezwał się on, gdy go wywołano dla świadczenia.

— »Sprechen sie lieber polnisch« (mów pan lepiej po polsku) przerwał mu prezes, gdy otworzywszy usta zaczął bez litości łamać mowę, znajomością której chciał się popisać.

Po zeznaniach więc polskich, nastąpiły obrony niemieckie, poczem sąd wydał się do sali narad. A potem? — potem:

— Im Namen des Königs, w imieniu króla, dało się słyszeć, i dowiedzieliśmy się, że Wernerowa i Koj skazani zostali na grzywny, za zobelżenie swoich bliźnich.

* * *

To sądzenie spraw przez tłumacza, tam gdzie miliony idą na szkołę niemiecką i gdzie do tej

szkoły dzieci polskie kijem nieledwie są zapędzane, jakaż to pyszna illustracya stosunków kraju, który pokonawszy pod Sedanem Francję, mniema, że stanął na szczycie cywilizacyi, i siłą pięści stara się szerzyć wśród dzieci polskich kulturę germańską, tak jak siłą pięści wydarł Francyi dwie francuzkie z ducha prowincye.

Wielkie prochy Kanta, Hegla, Schilera i Goethego, czy wy nie poruszacie się ze zgrozy w grobach waszych?

XVIII.

Opole nie posiada dotąd pisma polskiego. Mimo że jest stolicą Szląska Górnego, że leży w powiecie prawie czysto polskim, że otoczone jest od południa i wschodu powiatami polskimi, zadawałać ono musi duchowe potrzeby swoich mieszkańców, gazetami wychodzącemi bądź w Bytomiu, Piekarach, Królewskiej Hucie i Gliwicach, bądź też w Zaodrzańskim Raciborzu. Tymczasem odległość Opola od tych miast, wynosi kilka mil drogi żelaznej, a miejscowe potrzeby wymagają odbicia w organie, wychodzącym na miejscu. Dlaczego więc nie zdobyło się to miasto dotąd na swojską gazetę? Odpowiedź prosta: dla braku zasobnej miejscowej intelligencyi polskiej, któraby wydawanie jej i redagowanie, energicznie wzięła na własne barki? Zwa-

żywszy przecież, że potrzeba gazety miejscowej daje się w Opolu uczuwać, że powoli wprawdzie ale stale, przybywa Szląskowi Górnemu polska inteligencja, że wreszcie, gdy pieniędzy nie ma blisko, złożyć się na nie powinny siły dalsze, godzi się mieć nadzieję, że niedługo będziemy czekać na założenie pisma polskiego w mieście, w którem istnienie jego, jako w stolicy polskiej prowincyi, nie jest pozbawione doniosłego moralnego znaczenia.

Bawiąc na Szląsku Górnym, mieliśmy niejednokrotnie sposobność rozmawiać z wybitniejszymi narodowcami o tej ważnej, zdaniem naszym, kwestyi, i wszyscy oni zgodzili się z nami na to, że kwestya jest poważna i w swych skutkach bardzo doniosła. Ubolewali przecież nad tem, że brak materialnych środków, uniemożliwić może najlepsze nawet w tym względzie chęci. Obiecałem o tych środkach pomyśleć, zbiorowemi siłami poprzeć piękny cel i przyczynić się do stworzenia organu polskiego w mieście, które leży w okolicy polskiej i organ taki dla honoru chociażby prowincyi, mieć powinno. Zanim jednak do gromadzenia tych środków przystąpię, niech mi wpierw wolno będzie przytoczyć w tym względzie słowa, jednego z wybitniejszych działaczy naszych na Szląsku Górnym, wyjęte z listu pisanego do nas, niedługo po naszym powrocie do Warszawy, z objazdu tego kraju.

»Bardzo żałowałem (pisze autor tego listu, którego nazwiska dla łatwo dających się pojąć powodów przytoczyć nie mogę),

bardzo żałowałem, że nie mogłem się zjechać z Kochanym Panem, podczas jego bytności na Górnym Szląsku. Natomiast cieszę się, że Pan uznał potrzebę założenia pisma polskiego w Opolu. Kiedy przed 30 laty sięgały granice szczepu polskiego jeszcze pod Wrocław, dziś kończą się niedaleko za Opolem. Potrzeba więc obrony granic. Dawniej broniono kresów za pomocą murów, dziś takowych bronić wypada za pomocą papieru i słów na nim drukowanych, a natchnionych tym samym duchem, jaki ożywiał rycerzy po za murami twierdz. Każda redakcja jest jakoby źródłem ożywczem, naokoło którego bujniejsza powstaje wegetacja. Redakcja »Katolika« jest zbyt oddalona od okolic opolskich, siły jej nie starczą na wszystko, i na osobiste działanie we wszystkich okolicach Górnego Szląska, bo też sił pracujących i działających nie może być zbyt wiele, z powodu braku zasobów materyalnych. Z gazetą w Opolu musiałaby być połączona księgarnia«.

Tyle słów listu, reszta poświęcona jest sprawom, nie mającym z tą ścisłego związku.

Widzimy zatem, że doniosła i powszechnie uznawana sprawa pisma polskiego w Opolu, na drodze urzeczywistnienia swego, natrafia na ważną przeszkodę, na brak materyalnych środków. Przy istnieniu ich, tak jak i w Raciborzu, znalazłaby się i w Opolu swojska intelligencja, — i na północnym skraju Szląska Górnego zajaśniałoby światło, którego błogosławione promienie dosięgałyby dalekiego Brzegu, gdzie polskość dotąd zupełnie nie wygasła, i gdzie jeszcze w roku 1867, liczono 11 % Polaków *), tak jak zajaśniało świeżo w Raciborzu, bu-

*) Czyński.

dząc do narodowego życia całe szląskie Zaodrże. Czyż można wątpić, że potrzebne środki się znajdują, że kraj nasz, który miliony złożył w ofierze bratniej prowincyi podczas pamiętnego głodu w 1879 roku, nie odwróci się obojętnie od niej, gdy głód sroższy o wiele, bo duchowy, zagraża północnym jej powiatom, i gdy dla odwrócenia takowego, potrzeba stosunkowo tak niewiele? Sądzimy że nie, że wnuki i prawnuki dziadów, którzy zgrzeszyli względem Szląska bardzo, oddawszy go na łup niemczyźnie i pchając się całą siłą na wschód, do ziem etnograficznie nam obcych, naprawią błędy lekkomyślnych przodków swoich, i drogą pokojowej pracy odzyszczą to, co stracili w epoce gdy był czas i siły na orężne zapasy i popisy. A wtedy mogą oni być pewni, że odzyskawszy to, co jest dziś jeszcze do odzyskania na Szląsku, nie stracą tego już nigdy, i że milionowa massa ludu polskiego po obu stronach Odry, wsiąknie doszczętnie w organizm całego kraju, i że co najważniejsza, wsiąknąwszy raz, uzdrowi go i ożywi nauką, jaką się na Szląsku Górnym wyraźnie czyta na twarzy każdego polskiego dotąd, tak jak i my chłopcy: że »paść może i naród wielki, zginać tylko nikczemny«.

Na tem kończę spostrzeżenia moje, zebrane podczas pobytu mego na Szląsku. Niechaj czytelnik odczyta je uważnie, a odczytawszy, niechaj daje autorowi ich pobieżność. Zwiedziwszy raz i drugi Szląsk Górny, zapragnąłem podzielić się z ogółem polskim tem com tam widział i czuł, i oto powód, żem wziął pióro do ręki, nie pretendując bynajmniej do tego, by namalować obraz, dający pełne i gruntowne wyobrażenie o rzeczy. Na obraz taki, paleta moja jak dotąd nie posiada farb dostatecznej mocy, zdobędą się więc nań siły, z którymi moje równać się niestety nie mają dziś jeszcze prawa. Ale zanim się zdobędą, niech tymczasem te luźne kartki, mówią coś niecoś ogółowi polskiemu o naszym z krwi i kości Szląsku, niechaj mu przypominają, że gdy klasy wyższe, tak jak w Słowiańszczyźnie południowej, odbiegły tam narodowego sztandaru, polskość nad górną Odrą uratował polski chłop, — niechaj go wreszcie uczą, że interesa narodowości całej w rękach jednej choćby najzasłużeńszej klasy składane być nie powinny, w chwili bowiem jak to miało właśnie miejsce na Szląsku, walki na śmierć i życie, ręce takie okazać się mogą za słabe do utrzymania tego, co wyrwać usiłuje jeśli nie cywilizacyjnie to fizycznie wyższa siła.

K O N I E C.

Warszawa, 2 Marca 1890 r.



Wojewódzka Biblioteka
Publiczna w Opolu

1115 Ś



001-001115-00-0